№ 14. Warszawa, dnia 6 Kwietnia (25 Marca) 1889 r. Rok IX.

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**PRENUMERATA „PRAWDY"**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
**W Warszawie:** miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

**Adres: Złota №. 23.**

**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

**TREŚĆ:** 

## POLITYKA.

### „HONEST JOHN."

Cokolwiek by powiedzieć można o śmiesznościach i dziwactwach kwakrów, trzeba przyznać tej sekcie, że ona nadzwyczajnie umacnia i oczyszcza charaktery z mętów moralnych. Wymownym przykładem tego wpływu jest świeżo zmarły, niegdyś wysoko ceniony a niewątpliwie bardzo zasłużony John Bright. Życie tego oryginalnego człowieka stanowi jedną z najciekawszych kart dziejów nowoczesnych Anglii a poniekąd i Europy. Syn zamożnego fabrykanta naturalnie uczęszczał naprzód do szkoły, którą jednak opuścił po części wskutek słabości zdrowia, a po części wskutek przekonania, że szkoła nie jest ani jedynym, ani najlepszym przybytkiem ukształcenia. Młody tedy kwaker pracuje w kantorze ojca, czyta, rozmyśla i wcześnie przyjmuje udział w sprawach społecznych. Nie sam przypadek, ale podobieństwo natur i dążeń przyciąga go do Cobdena, słynnego pogromcy ceł zbożowych, któremu biedacy angielscy dotąd zawdzięczają swój tani chleb. Pióra dramaturga godną jest scena ślubu apostolskiego tych dwu ludzi. Rok 1841 zwalił na kraj klęski nieurodzaju i głodu, a Brightowi zabrał ukochaną żonę. „Opanowała mnie— mówi on sam — boleść, prawie rozpacz. Zwłoki mojej drogiej leżały zimne i sztywne w pokoju nade mną. Nic mi nie pozostało, tylko wspomnienie o jej oddanej miłości i krótkiem szczęściu małżeńskiem. Odwiedził mnie Cobden; powiedziawszy kilka słów pociechy, utkwił we mnie wzrok i rzekł: „Są w Anglii tysiące ognisk domowych, w których żony, matki, dzieci umierają z głodu. Skoro pierwszy ból się uspokoi, pójdź ze mną i nie odpoczniemy, aż cła zbożowe będą zniesione." Przyjąłem jego propozycyę. Wiedziałem, że to, co mi powiedział o tysiącach nędzarzów, nie jest przesadą. Czułem w sercu mojem, że tu nastręczała się robota, którą ktoś wykonać musiał. Połączyłem się z nim i od tej chwili pracowaliśmy bez przerwy, póki nie spełniliśmy naszego dzieła. Spór o to, czy jest dobrem dla człowieka mieć cały lub pół bochenka chleba, trwał lat siedem." Przez ten czas, obaj apostołowie, porzuciwszy swoje zajęcia, wędrowali po kraju, wszędzie żywem słowem zagrzewając opinię dla swej idei, która wreszcie zwyciężyła. W tej pielgrzymce ich talenty krasomówcze rozwinęły się olbrzymio.

„Honest John" — jak biedacy nazywali Brighta, człowiek, który za regułę swego życia wybrał godło: „bądź sprawiedliwym i nieustraszonym," który w jednej ze swych mów oświadczył, że „nigdy jego słowo nie przyczyni się do zmarnowania jakiegokolwiek skarbu ojczyzny i przelania krwi," opiekun ubogich, przyjaciel ludu i apostoł pokoju, musiał nieraz zetrzeć się nietylko z rządem, ale i z opinią kraju. Wystąpienie przeciw wojnie krymskiej pozbawiło go nawet mandatu poselskiego. Nie mogąc pogodzić się ze środkami wykrętnej i zaborczej polityki Palmerstona, zdzierał z jej oblicza wszystkie zasłony i ukazywał jej odstręczającą nagość. Podczas walki amerykańskiej Południa z Północą o wyzwolenie niewolników, Bright również zajął stanowisko humanitarne, którem ściągnął na siebie dotkliwą zniewagę w parlamencie. Łącznie z Cobdenem wyważył nielitościwy system ucisku angielskiego w Indyach wschodnich, który pod ich parciem musiał runąć i ustąpić miejsca stosunkom sprawiedliwszym. Obok tej wielostronnej działalności na zewnątrz, nie spuszczał nigdy z uwagi potrzeb wewnętrznych, a zwłaszcza potrzeb ludu. Jeden z jego biografów przytacza charakterystyczne słowa, zwrócone do rządu: „Naród — rzekł raz Bright — mieszka we wszystkich chatach. Jeżeli w nich nie odbija się światło konstytucyi, jeżeli wasze ustawodawstwo i sztuka dyplomatyczna nie oddziaływają pomyślnie na uczucia i warunki życia ludu, to jeszcze nie nauczyliście się obowiązków rządu."

Pomimo swej kwakierskiej surowości, umiał Bright zachować tę samą podniosłość w sprawach religijnych, kierując się wyłącznie tolerancyą. Nie zaczepiał dogmatów kościoła państwowego (anglikańskiego), ale walczył z jego przywilejami i uroszczeniami do wyrażania uczuć całego narodu. Kiedy lord Russel (1851) wniósł bil, zakazujący papieżowi mianowania arcybiskupa w Westminsterze, spotkał się z najenergiczniejszym oporem ze strony Brighta. „Honest John" także oświadczył się za dopuszczeniem żydów do Izby gmin; on wreszcie był jednym z pierwszych i najżarliwszych obrońców Irlandyi. „Gwałt nie jest środkiem leczniczym"—powiedział raz w tej sprawie, a dzisiaj widzimy, że miał zupełną słuszność.

Dla polityka praktycznego, realnego — jak siebie nazywa Bismark — był Bright marzycielem, Don Kichotem, teoretykiem, ale nie mężem stanu. Ten Don Kichot jednakże osiągnął wiele celów praktycznych, wywarł na życie Anglii wpływ głęboki, a przytem wykazał dowodnie, że idealna uczciwość, sprawiedliwość, moralność nie są tak zużytymi gratami, jak głoszą realiści. Na tle obecnej epoki, podmalowanej przez kanclerza niemieckiego barwami siły, drwiącej z prawa i etyki, ogołoconej z wszelkich „sentymentów," tak ponurej, jak tylko ponure być może okrutne samolubstwo, jasna postać Brighta odbija się wyraziście i wspaniale. Jest on już tylko wspomnieniem; ale wspomnieniem promiennem i ożywiającem nadzieję upadającą w wątpieniu, czy kiedykolwiek powrócą znowu do steru politycznego tacy ludzie, jak „honest John."

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Boulanger uciekł z Francyi. Kiedy spostrzegł, że rząd coraz bliżej ku niemu przysuwa swą rękę i wkrótce go już uchwyci, ażeby w kozie osadzić lub z kraju wyrzucić, uznał za stosowne zemknąć do Belgii. Stamtąd tłomaczy się tem, że skoro zamierzono go postawić przed sądem senatu, który mu nie daje żadnej rękojmi sprawiedliwości, musiał się schronić w bezpieczne miejsce, z którego wyjdzie i powróci do Paryża jedynie wtedy, kiedy zostanie zapozwany przed trybunały zwykłe. W ostatnich dniach naczelny prokurator Francyi stanął pośrednio w jego obronie, zrzekłszy się urzędu, gdy mu kazano oskarżać Boulangera. Niektóre gazety wróżą, że polityczna rola warchoła na tej ucieczce się skończy. Z proroctwami tego rodzaju w odniesieniu do Francyi trzeba być ostrożnym, tem bardziej, że już raz po niefortunnym występie w Izbie nad Boulangerem odśpiewano w prasie egzekwie — przedwcześnie. Gdyby do usnucia przepowiedni wystarczyły nici zwykłej logiki, to czyżby ktokolwiek teoretycznie przypuścił, że taki lichy kiep może trząść wielkiem państwem i mieć nadzieję objęcia nad niem zwierzchnictwa? Rozum musi nieraz iść wstecz kolei logicznej, jeśli chce zgadnąć, co zrobią francuzi. Na jedno tylko można liczyć w odniesieniu do nich — wszelka śmieszność ich zniechęca. Pomimo zaś że Boulanger w swej „proklamacyi" usiłuje swą ucieczkę pokryć lepszymi niż tchórzostwo pozorami, ośmieszyć go łatwo. Jeżeli tedy jego przeciwnicy wyzyskają należycie humor tej sprawy, mogą pokonać warchoła tą bronią daleko skuteczniej, niż każdą inną, chociażby ona przebijała kilkocalową tarczę żelazną.

Znakomity ekonomista Roscher, który dowodził niemcom niezdolności do kolonizacyi, dziwnie bystrem okiem spojrzał w przyszłość. Rzeczywiście przedsięwzięcia tego rodzaju stanowczo im się nie wiodą. Bez przesady rzecz można, że gdzie innym noże golą, im — brzytwy nie chcą. Wiadomo, ile pieniędzy stracili i jakie klęski ponieśli w Zanzibarze; teraz znowu burza zniszczyła im kilka okrętów na wodach samoańskich, przy tych samych wyspach, z których niedawno omal ich nie wygnano.

Sejm niemiecki przyjął projekt rządu, oddzielający dowództwo marynarki od jej zarządu. Cesarz, który bardzo się interesuje tą gałęzią siły zbrojnej, chce ją powierzyć swemu bratu Honrykowi z tą niezależnością od parlamentu, w jakiej pozostają generałowie wojsk. Jest to nowe uszczuplenie praw reprezentacyi narodowej.

Niemcy w zeszłym tygodniu postawiły pierwszy krok na drodze, na którą dotąd nie weszło żadne państwo: przeprowadziły przez sejm uchwałę o zabezpieczeniu robotników niezdolnych do pracy. Sam Bismark, choć ją popierał, nie mógł ukryć pewnego niepokoju, który udzielił się również jego bałwochwalcom, po członkach Izby przebiegał w czasie obrad dreszcz trwogi, bo — jak słusznie zauważył Rickert — jej większość przybrała barwę socyalistyczną. Prawo to, o którem kiedyś szczegółowo pomówimy, bo stanowi wypadek ważny, jest pierwszem w Europie spełnieniem części programu socyalistów.

Skutkiem nowego wylewu Warty, cesarz niemiecki przybył do Poznania, gdzie poprzestał tylko na przyjęciu urzędowem. Coś na powodzian przeznaczył.

Ustawa wojskowa — o czem nie wątpiliśmy — zyskała potwierdzenie sejmu węgierskiego, pomimo krzyków opozycyi i jej chórów ulicznych. Ale i to także wydaje nam się naturalnem, że zwycięzki Tisza uczuł niepewny grunt pod swemi stopami.

Wysłaniec serbski wrócił z Jałty od Natalii i przywiózł jej oświadczenie, że zastosuje się do warunków ugody króla z regencyą, przyjeżdżać będzie tylko na krótko i mieszkać w willi prywatnej.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### LISTY Z NAD BALTYKU.

Korporacye studenckie w Rydze. — Organizacya samorządu studenckiego. — „Barwiarze" i „kandydaci." — „Żacy." — Kary „piwne." — „Fuksowanie." — Zebrania naukowe i towarzyskie. — Wpływ korporacyi i prawomyślność ich. — Budżet. — Korporacye dorpackie.

Ostatnimi czasy wiele mówiono, szczególniej w prasie ruskiej, o korporacyach studenckich, istniejących przy wyższych zakładach naukowych gubernij nadbaltyckich — politechnice ryzkiej i uniwersytecie dorpackim. Sądy prasy były zwykle niedokładne i przeważnie przeceniały znaczenie i wpływ tych skądinąd ciekawych instytucyj. Przedewszystkiem uprzedzimy czytelnika, że nadbaltyckie korporacye studenckie nie mają nic wspólnego z t. zw. *Corps* zagranicznymi. Przy politechnice ryżskiej istnieją one na zasadzie Najwyżej zatwierdzonej ustawy (*Bestätigungsacte*) i mają za cel czuwanie nad obyczajowością studentów, rozwojem w nich uczucia honoru i wogóle kształcenia pożytecznych dla kraju obywateli. Prócz zasadniczych praw zawartych w urzędownie zatwierdzonej ustawie, istnieje zbiór przepisów (Allgemeiner Politechniker Coment), wydawanych przez korporacye, atoli obowiązujących ogół studentów, bez względu, czy są oni „korporantami," lub też „dzikimi," tj. nienależącymi do korporacyi. Owe *Coment*, czyli inaczej *apc*, zawiera mnóstwo paragrafów administracyjnej i prawodawczej natury. Są tam określone prawa sądu studenckiego, rozmaite przewinienia i kary, jakie za sobą pociągają. Kary owe są następujące: ostrzeżenie, wymówka, obostrzona wymówka podwójnej doniosłości i wywołanie (*Verruf*). To ostatnie polega na tem, iż towarzyskie stosunki z osądzonym osobnikiem na pewien określony czas zostają wzbronione wszystkim studentom. Karę tę pociąga za sobą czynna obelga kolegi lub grożenie nią, złodziejstwo, kłamstwo lub wogóle czyn niehonorowy, oraz suma kar moralnych, czyli owych rozmaitej doniosłości wymówek, otrzymanych w ciągu pewnego, określonego czasu. Sąd studencki składa się z sędziów wybranych przez korporacye, po trzech z każdej, wyrokuje zaś ogół studentów, a więc i „dzikich." Najwyższą atoli karę czyli owo „wywołanie" udziela sąd ogółu korporacyi, nie zaś tylko sędziów. Instytucyą prawodawczą, no i sądzącą, w ważniejszych wypadkach, gdzie

2)

# NA PROGU.

### FANTAZYA.

Biedna myśl i słabe człowiecze serce tylko w bólu niewysłowionym powtórzyć mogą dźwięki, które rodzą się w łonie ożywiającego je ducha. I rozkosz, która z mąk tych płynie, jest tak wielką, iż pod nią drży, ugina się i omdlewa bezsilne ciało. W bólu i rozkoszy tworzenia—Alojzy ucierał się długo z własnym duchem, nim dobył zeń czysty i pełny głos oczekiwanej pieśni!

* * *

Jednego wieczoru starzec poeta znalazł na progu swej izby porzucony zwitek papieru. Zostawiła go ręka, która nie śmiała zakołatać do drzwi.

Noc była wiosenna, mroczna i burzliwa. W chłodnym uścisku jej miasto zamarło, przytaiwszy swój oddech, jak zwierz nastraszony wyciem burzy.

Przesądnym i lękliwym zdało się, iż złośliwe duchy jakieś w swych sercach czarnych i zimnych wypieściły potworne przeciw nim zamysły, i pokłóciły się, a burza echem ich kłótni była. Więc ci z ludzi, którzy od czarciej napaści tarczę mieli w ciszy, cieple i świetle rodzinnych ognisk uciekali do nich tak szybko, jakby po raz ostatni rozgrzać mieli członki, oczy blaskiem napoić i słuch wypieścić słodkimi dźwiękami domowych radości. Gdy czuli się już u siebie, bezpieczni zasiadając w kole domowników, opowiadali jak strasznymi głosami przestrzeń wygraża ziemi, i drżeli jeszcze, nie mogąc z pod powiek wydrzeć odbicia czeluści, może piekielnych, które na chwilę oczom ich się rozwarły.

Byli przecież tacy, których noc ta w opuszczeniu i samotności zastała. Ci się jej nie lękali.

Alojzy błąkał się po ulicach, nadstawiając twarz chłoszczącym biczom wody i pozwalając się popychać zimnym dłoniom wichru. Szedł bez celu, a lęk jakiś, któremu oprzeć się nie miał siły, odpychał go dalej coraz od miejsca, gdzie w mroku nocy płonęło ciepłe i przyjazne światełko w oknie starca.

Dusza Alojzego była tak zmącona w tej chwili, jak przestrzeń. Przelatywały nad nią wichry obaw, niewiadomo w czyjem tchnieniu zrodzone i niosące z sobą hasła trwogi niewytłomaczonej; rozpalały się w niej ognie pożądań tak namiętnych i gwałtownych, jak błyski, które rozdzierają i ogarniają przez chwilę chmurę i wnet gasną pokonane ciemnością — i pełna była głosów tak pomięszanych i niezrozumiałych, jak nocne chóry burzy. Zdawało mu się, iż odbył już drogę długą, długą, popychany wciąż czyjąś dłonią niewidzialną i tak okrutną, że nie dawała mu się obejrzeć i dostrzedz oblicze siły, której ulegał. Kiedyż skończy się bieg męczący! Kiedy nastąpi chwila, w której poczuje, iż spełnił to, czego odeń żądano! Chwila ta byłaby pełna niewysłowionej, bezmiernej radości. Lecz może nastąpi ona tak, iż czuć jej nie będzie? Może już nastąpiła! Te ręce, które nieubłaganie pchały go kędyś, które zniewalały do śpiewu arfę zamkniętą w jego duszy, teraz gdy wyśpiewała ostatnie słowa żądanej pieśni — może pochwyciły ją już, i cisnęły o głaz jaki i porwały struny—już nieużyteczne! Czy w piersiach jego nie przelewa się długim jękiem echo zerwanych strun wszystkich, wszystkich — i czy nie żegna go ono słowem: oto koniec! Lecz pieśń nie umilknie wpierw zanim on umrze; na cóż mu myśl, świadomość, uczucie — bez niej? Ona ulecieć może tylko z tchnieniem życia, gdyż była życiem, przelewała się krwią po członkach jego, karmiła go, poiła i kołysała do snów! Ta myśl rozlała dreszcz rozkoszy po ciele jego i spłynęła w jakiś smutny spokój, który go ogarnął.

Począł się wsłuchiwać w rozigrane w burzy głosy ciemnej przestrzeni i one przemawiały do niego dziwnie wymownym i surowym smutkiem. Rozumiał je. Nie były odgłosem walki, gdyż łono wszechświata jest wiecznie spokojne, nie rodzą się w niem zachcenia żadne, nie ścierają nigdy wrogie sobie wole; wytrącone w punkcie jakimś z równowagi siły powracają do niej uległe: potęgi nieświadome siebie i celu swego, są milcząco i ślepo posłuszne dążeniom narzuconym, brzmiącym jak rozkaz prosty, wyraźny, niezmienny. One są jękiem pokory. Lecz czy martwej przestrzeni tylko? Czy nie zlewa się w jęk ten skarga ludzkości toczącej z równą pokorą fale pokoleń ku celom nieznanym? Czy i nad nią nie zawisła czyjaś wola nieprzeparta? I oto w jednej, nieposłusznej piersi ludzkiej rodzi się wola

np. zdarza się możliwość karania wywołaniem i wogóle najwyższą w organizacyi studenteryi koło delegatów (*Chargirten Convent*). Składa się on z trzech przedstawicieli każdej korporacyi, tj. z prezesów, wice-prezesów i sekretarzów. Po kolei jedna z korporacyj przewodniczy; wówczas jej prezes jest głównym przedstawicielem koła delegatów i zarazem ogółu studenteryi. Koło delegatów w rzadkich wypadkach jest instancyą decydującą; zwykle zaś rozbierają tam przedstawiciele poglądy i wyroki, jakie wydały ich korporacye i drogą głosowania osiąga się ostateczny wniosek koła delegatów i sądu studenckiego, o ile nie są sprzeczne z Najwyżej zatwierdzoną ustawą, nie podlegają krytyce władz szkolnych i zmieniane przez nie być nie mogą. Jest to wogóle całkowity samorząd. Nową korporacyę zatwierdzają lub też nie, stosownie do uznania, istniejące uprzednio stowarzyszenia.

Tyle o organizacyi.

Korporacye składają się z dwóch rodzajów członków: „barwiarzy“ (Farbenträger, Convents-Mitglieder) i kandydatów (Fechtbodisten). Pierwsi noszą trójkolorowe czapki i bandę (wstążkę) przez pierś; są oni członkami koła *Convent'u*, tj. instytucyi, która rządzi korporacyą całą, wybiera urzędników korporacyjnych, nowych członków koła z pośród kandydatów, wydaje specyalnie daną korporacyę dotyczące przepisy, które ze swej strony nie mogą stać w sprzeczności ani z ustawą główną, ani z ogólnemi prawami, wydanemi przez koło delegatów. Kandydaci mają głos tylko w sprawie budżetu stowarzyszenia. Szczegółowymi przepisami, doborem członków, ilością ich, wreszcie celami zasadniczo różnią się między sobą pojedyncze korporacye. W niemieckich i ruskich istnieje starodawny zwyczaj wymagania od pierwszorocznych członków, t. z. „żaków“ (Fuchs) pewnych, dość ubliżających usług, jak np. odkorkowywania butelek z piwem, oraz kary „piwne,“ polegające na wypiciu pewnej ilości piwa, częstokroć z arcy-niesmaczną domieszką innych trunków. Ma to jednak charakter żartu i każdy „żak“ może odmówić przyjęcia podobnego nektaru. Słynne opowiadania o czyszczeniu butów burszom, jeżdżeniu wierzchem na krzesłach itd. należą już dziś tutaj stanowczo do dziedziny anegdot. Z czasem i obecna, udelikatniona forma „fuksowania“ zaniknie pod wpływem obcych, nieniemieckich pierwiastków. Sami bowiem niemcy nie widzą w niej nic zdrożnego. Usprawiedliwić to poniekąd można ogólnym charakterem północno - niemieckich stosunków. W rodzinie niemieckiej przestrzega karności ojciec, który począwszy od żony, cały dom „fuksuje.“ Później przychodzi kolej na burszów, wreszcie i w późniejszem życiu zdarza się obywatelom niemieckim ścierpieć niejeden wybryk wybujałej dyscypliny państwowej. Jakże „fuksuje“ urzędnik w Niemczech wyborców, inspektor szkolny nauczycieli, jakże „fuksuje“ swoich podwładnych, ba, nawet prasę i parlament książę kanclerz! Przykład idzie z góry; a hołdowanie przemocy, brutalnej sile, tak wkorzeniło się w naturę niemca, że nieświadomie poniekąd przejawia się nawet w jego rozrywkach.

Korporacye posiadają własne lokale, lub nawet domy własne, mniejsze lub większe księgozbiory, kasy stypendyalne i pożyczkowe. W niektórych, prócz zebrań towarzyskich, urozmaicanych muzyką, śpiewem, deklamacyą i przedstawieniem teatralnem, odbywają się zebrania naukowe, których porządek dzienny zapełniają odczyty treści dotyczącej rozmaitych gałęzi ogólnej wiedzy. W jednej nawet danie barw, czyli przyjęcie do koła, obwarunkowane jest złożeniem odpowiedniej pracy piśmiennej; nie są to jednak korporacye niemieckie.

Przedmioty obrad na rozmaitych posiedzeniach korporacyjnych nie mogą wkraczać w dziedzinę polityki i religii. Trzeba znać szacunek wysoki dla prawa, jaki pielęgnują te towarzystwa, aby zrozumieć, że przepis nie jest martwą literą, ale rzeczywiście zostaje wypełnianym. Stąd przychylność władz miejscowych dla korporacyj, które w pewnym ważnym względzie dają zupełną rękojmię. Jeszcze niedawno istniał projekt zmuszenia wszystkich studentów do uczestnictwa w korporacyach.

Co do wpływu, jaki dzięki swym środkom wywiera na młodzież korporacya, trudno bezwzględny wydać wyrok.

Wydatki niektórych korporacyj, dosięgające do 4,000 rs., pokrywają członkowie sposobem racyonalnym, chociaż dość niezwykłym. Każdy mianowicie podaje całkowity swój dochód, od którego odtrąca się pewna suma, będąca według uznania koła konieczną dla przeżycia. Jeśli dochód jednostki przewyższa ową normę, wówczas nadwyżka podlega opodatkowaniu procentowemu; odsetkę bierze się tej wysokości, by od całej sumy nadwyżek wystarczała na pokrycie budżetu. Tym sposobem, przy równem korzystaniu z wygód, dostarczanych przez korporacyę, opłata członków jest różną; bogatsi płacą więcej, ubożsi mniej lub nic, a częstokroć otrzymują nawet wsparcia w formie stypendyów, pożyczek, bezpłatnych obiadów itp.

W Rydze obecnie istnieje 6 korporacyj; nazwy ich są: „Baltica,“ „Concordia,“ „Rubonia,“ „Arkonia,“ „Arctica“ i „Welecya.“ Co do dorpackich, to mało różnią się one od ryzkich. Istnieją na zasadzie pozwolenia ministra.

*A. R.*

# BADANIA NAUKOWE.

### ZACHOWAWCZO-PAŃSTWOWE

## PRĄDY REFORMACYJNE.

W ostatnim numerze *Prawdy* z przeszłego roku mówiliśmy, z powodu rozpraw w parlamencie niemieckim nad projektem emerytury dla starców i inwalidów pracy, o ogólnym charakterze tego rodzaju dążności. Wykazaliśmy, że w dziejach rozwoju społecznego nie przedstawiają one zgoła żadnej nowości, lecz jedynie dają odpowiednie tegoczesnym warunkom rozwiązanie starego zagadnienia: co robić z różnymi odpadkami ludzkimi, wytwarzanymi przez sprawę produkcyi dóbr materyalnych (kalekami wskutek poniesionych uszkodzeń, starcami niezdolnymi do dalszej pracy itd.). Różnica istotna polega jedynie na tem, że, stosownie do nowożytnych potęg wytwórczych, pytanie to zyskało na wadze, tak, iż rozstrzygniętem być może tylko przy pomocy władz prawodawczych. Obecnie wracamy znowu do tego przedmiotu wskutek

---

oporna tamtej, jedno serce zachwycone własnemi pieśniami usiłuje wyrwać u tamtej szczęście dla ludzi! Ah! by zdziałać to, pieśń jego powinna być głośniejszą od wrzawy huraganu, jej echo powinnoby się odbić aż w piersi wszechświata, i wstrząsnąć nim i rozbudzić go!..

Zwątpienie tak szybko zalewa dusze młodych, jak wody wezbrane—nadbrzeżną równinę. Chłód jego w jedno mgnienie skuł Alojzemu piersi, i dźwięki, które z serca jego przedzierały się przez ten pancerz lodowy—słowa pieśni, które tak niedawno rozlewały potoki żaru po żyłach jego — teraz wydały mu się zimno i tak cicho, jak szepty słowicze. Kimże one wstrząsną? Kogo rozbudzą!

Szedł dalej coraz w zupełnej pustce nocy i zdawało mu się, iż go pociąga brzeg jakiejś przepaści bezdennej i cichej, i że, gdy nad nią stanie, nie będzie już mógł oprzeć się pokusie spokoju i zapomnienia—tam, na jej dnie. Oczy jego, zatapiając wzrok w ciemnościach, wypełniały próżnię jej obrazami samej tylko niedoli, nędzy, płaczu ludzkiego, a jednocześnie słuch miał pełen głosów, które nań wołały: „Zbyt wiele kochasz, twoje serce nie ostoi się wobec tego co oczy widzieć będą — życie jest dla tych, którzy skorupą obojętności serca odzieją a na twojem nic utrzyma się ona nigdy — więc ustąp!“

„Powróć do nas, gdy będziesz bardzo zmęczony“—szeptały czyjeś usta, i zdaleka, zdaleka uśmiechnęły mu się twarze Marty i Jana. Lecz to wspomnienie tylko nowym smutkiem ścisnęło mu piersi. „Nic uczyniłem nie by zasłużyć na słodki odpoczynek między niemi“ — powiedział sobie.

Mrok opuszczenia i samotności gasił myśli jego. Czuł się tak słabym i wyczerpanym, jakby życie uciekało zeń wielkim, niepowstrzymanym strumieniem. Za chwilę koniec nastąpi bez wysiłku, bez walki i bólu. Więc jedno już tylko pragnienie paliło pierś jego, oto zobaczyć jeszcze na chwilę twarz ludzką, choć jedną, i błagać o uścisk — najkrótszy, byle nie umierać w zimnych objęciach przestrzeni, lecz przy ciepłej piersi człowieka! To mu się należy za miłość, jaką kochał ich wszystkich.

* * *

Starzec czuwał tej nocy. Nie burza płoszyła mu sen zpowiek, lecz pieśń niepojęcie piękna, którą na zwitku papieru napisaną ktoś zostawił u progu jego domu. Pełen niewymownej obawy, niepokoju i oczekiwania nie schodził z tego progu i, tęsknie podnosząc ręce, przyzywał kogoś z ciemności, której nieprzedarta zasłona wisiała nad snopem światła padającym od drzwi odchylonych. W tem z pod rąbka jej wychyliła się ludzka postać drżąca, chwiejna, padająca. Z ust starca dobyły się z krzykiem radości tylko te słowa:

— O mój synu!

Na ramionach swych, w których nagle odzyskał młodzieńczą siłę, poniósł Alojzego do izby i ułożył go, jak dziecię, na swojem łożu. Potem klęczał przy nim i szeptał mu do ucha wyrazy, które najcudniejszą melodyą rozpływały się w słuchu Alojzego, wracając sercu jego ożywcze ciepło.

— Nigdy z ust ludzkich nie wydarł się równie potężny głos miłości, jak ten, który w pieśń swoją zakląłeś — mówił starzec. Lecz nie pozwalają by cudze usta nieumiejętnie głosiły jej słowa, niech bracia twoi słyszą je od ciebie samego, gdyż ty tylko włożysz w nie żar, który spopieli pokrywę obojętności zamykającą ich serca.

...Noc jeszcze była, gdy Alojzy rozstał się ze starcem i powrócił do własnej izdebki by w ukryciu i samotności uczcić tę cichą i wielką uroczystość, jaką święciła teraz dusza jego, a która podobną była do tej, jaką święci przyroda po wiosennej burzy. Lecz chmury, które ją zawlekły na strop jego ducha, nie rozpierzchły się zupełnie, ślad ich został we mgle nawianej przeczuciem tych zwątpień i upadków, które nań czekają za progiem otwierającego się przed nim z chwilą tą życia.

Wreszcie nastąpił świt.

Pierwsze promienie słońca ucałowały tkliwie oblicze Alojzego, które z młodzieńczego stało się męzkiem: niewidzialne dłuto ubiegłej nocy wyrzeźbiło na niem głębokie rysy smutku, których nic już zetrzeć nie miało, gdyż były one piętnem, jakie duch miłości wyciska na wysłańcach swoich idących ze słowami jego między ludzką rzeszę.

*F. G. Brodowski.*

*Sprostowanie.* Na str. 146 w odcinku szp. 3, w. 3 od dołu zamiast „poranku,“ czytać należy „promyku,“

ukazania się pracy dr. L. Darguna, profesora wszechnicy Jagiellońskiej *O zabezpieczeniu robotników w teoryi i w najnowszem ustawodawstwie Austryi i Niemiec.* Bierzemy zaś pióro do ręki tem chętniej, że chociaż autor poddaje kwestyę rozbiorowi ze stanowiska niezupełnie zgodnego z naszem, dość szeroko wszakże uznanego w sferach rządowych. Przytem mniej nacisku kłaść będziemy na stronę krytyczną i natomiast więcej na przedmiotowy wykład zapatrywań autora.

Stanowisko swoje określa on bardzo wyraźnie. Autor nie zalicza się do pesymistów, którzy twierdzą, iż stan (?) robotników upada i udział ich w społecznym wytworze narodowym zmniejsza się nieustannie. Równie nie zgadza się z optymistami, podnoszącymi przeważnie fakty korzystne dla stanu czwartego, lubo mniema, że tego rodzaju wypadki powszechniejsze. Słowem, w jego przekonaniu, słuszność istnieje po obu stronach, obie okazują wiarę i walczą doskonałą bronią. W zupełności uznaje p. D. prawdziwość tego położenia, o którem zaświadcza jeden fabrykant z Berna: „Sam widziałem często, jak robotnicy przychodzą do szpitala, a lekarz powiada do nich: wam nie trzeba lekarstwa, lecz dostatecznego pokarmu“ i z naciskiem wskazuje na fakt, że w miastach, dzięki tego rodzaju okolicznościom, nastąpiłoby zupełne skarłowacenie ludności, gdyby na zawadzie nie stawał ciągły napływ świeżej krwi ze wsi. Lecz jednocześnie wysuwa on inne objawy—polepszania się niby warstw pracujących. W tym celu przytacza zeznanie fabrykanta Leitera: „Przypominam czas przed r. 1848. Cóż zarabiał natenczas robotnik w fabryce wyrobów metalowych? Stosownie do ówczesnego systemu patryarchalnego, pozostając w nauce przez trzy do czterech lat, otrzymywałem jako robotnik pięć złotych reńskich na dni 14, obiad i nocleg na strychu. Działo się tak nietylko wyłącznie w Wiedniu, na prowincyi było nawet jeszcze gorzej. To są zarobki, które nie mogą iść w porównanie z dzisiejszymi, dzisiaj bowiem zwyczajny robotnik otrzymuje 8 do 10 złr. tygodniowo... w moim przemyśle inteligentny zarabia 25, 30, a nawet 35 złr. tygodniowo.“ Postęp jest niewątpliwym; teraźniejszość nie potrzebuje się wstydzić porównania z przeszłością i wady jej występują na jaw tylko, jeżeli ją porównywać będziemy w samej sobie — w rozmaitych częściach. Pewnik to często powtarzany, że robotnik naszych czasów żyje lepiej, niż niejeden naczelnik lub król w zamierzchłej przeszłości. Tymczasem niezadowolenie stanu czwartego wzrasta. Widoczna, że ono płynie raczej z przyczyn moralnych, aniżeli materyalnych. Istnieją przykłady w historyi indyan Ameryki północnej, że niedostatek i nędza zgładzały całe szczepy; nędzy tak wielkiej i tak powszechnej nie widzimy w żadnym kraju cywilizowanym. Ale cóż z tego? Robotnicy nie mają ani sposobności, ani powodu porównywania obecnego stanu z ekonomicznem położeniem ubogich i barbarzyńskich przodków, lecz zestawiają go raczej z korzystniejszymi warunkami warstw zamożnych i czerpią z tego zestawienia gorycz i niezadowolenie. Robotnik zna tylko jedną miarę różnicy społecznej — jest nią wielkość majątków; tworzy on sobie pojęcie o szczęściu innych stanów, oceniając wartość każdej rzeczy według własnego swego uczucia. Możnaby to nazwać zazdrością, lecz nazwa nie uwalnia od uwzględniania tego czynnika w polityce ekonomicznej. Co najważniejsza tedy, że wskutek tego istnieją głębokie wewnętrzne przyczyny niezadowolenia wśród stanu czwartego, z któremi należy się liczyć i starać o zupełne ich usunięcie. Uskutecznienie tego jest najgłówniejszem zadaniem polityki zachowawczej, mającej stworzyć w niezamożnych i zarazem najliczniejszych warstwach ludu przeświadczenie, że związek państwowy jest nietylko urządzeniem koniecznem, lecz nadto i dobroczynnem. Wypada tym grupom ludności przysporzyć dotykalnych, bezpośrednich korzyści drogą ustawodawczą, którąby udowodniła, że państwo bynajmniej nie jest instytucyą, wynalezioną ku wygodzie i interesowi warstw wyższych społeczeństwa, lecz mającą też na uwadze potrzeby pracujących. Rozpatrywane z takiego stanowiska prądy panujące tegoczesnego prawodawstwa w sprawie polepszenia bytu klasie zarobkującej, nie mają w sobie nic uczuciowego i filantropijnego. Robotnicy są głęboko przekonani, mniejsza czy słusznie lub niesłusznie, że to, co mają otrzymać, rzeczywiście im się należy od dawien dawna, ustawodawcy zaś czynią najważniejsze ustępstwa nie jako podarunek lub łaskę, ale chociaż dla chwilowego przywrócenia pożądanej równowagi społecznej. Uczucie i względy etyczne ustępują na plan drugi przed zadaniami czysto praktycznemi. W tym kierunku ustawodawców nie odstrasza od dzieła obawa, że tem samem wprowadzają do państwa pierwiastki socyalistyczne. Lecz wpływ ustawodawstwa znaczy tyle, co przymus państwowy i częściowe wykluczenie swobody, która na pozór winna właśnie doprowadzić do najpożądańszych skutków, bo czyż nie najprostszą byłaby myśl, że każdy człowiek sam najsnadniej dogląda własnych interesów? Jest to wszakże tylko złudzenie. W praktyce życia okazuje się, że istnieją pewne przyczyny, wykluczające możliwość skutecznego dopilnowania przez jednostkę gospodarczą interesów własnych. Niektóre z nich polegają na właściwościach poszczególnych ludzi — braku przezorności, wykształcenia itd., inne znowu są zupełnie niezależne od woli i charakteru jednostki, jak przeludnienie i nadmiar rąk, znoszące całkowicie wszelką dodatniość swobodnej umowy pomiędzy pracodawcą a robotnikiem. Słowem, wdanie się ustawodawstwa jest tem niezbędniejsze, że ono tylko jedno może nałożyć hamulec na podobny stan rzeczy.

Zachodzi teraz inne pytanie, mianowicie, czy stanowcze i trwałe polepszenie materyalnego losu robotników nie staje w niezgodzie z utrzymaniem własności prywatnej dla środków produkcyi. Otóż rzeczywistość najzupełniej zbija tę obawę. Możliwość podniesienia dobrobytu warstwy robotniczej bez niweczenia własności indywidualnej opiera się na tym fakcie, że wydajność pracy wzrasta ustawicznie. Wykazy biura roboczego Stanów Zjednoczonych stwierdzają, że według dawnego systemu pracy ręcznej, a nawet przy zastosowaniu mniej doskonałych maszyn, jeszcze przed 15—20 laty, ilość produktu, wytwarzanego obecnie przez jednego robotnika, wymagała przeciętnie czynności 3,57 ludzi. Ruch ten postępowy w dziedzinie wzrastania wytwórczości dostarcza polityce społecznej środków polepszenia bytu materyalnego robotników, bez potrzeby unicestwiania istniejącej własności. Położenie tej warstwy dozna zmiany bardzo dodatniej, jeżeli ją przypuścimy w wytworze społecznym do udziału, wzrastającego w miarę potęgowania się wydajności pracy. Idzie tylko o wyznaczenie i wytknięcie reform. Prof. Dargun czyni to na podstawie teoryi Brentana o t. zw. własnych kosztach kapitału i pracy. Mianowicie, właściciel kapitału w dochodzie brutto od przedsiębiorstwa winien otrzymać: a) kwotę umarzającą kapitał stały (budynki, narzędzia itp.), tj. odtwarzającą zużytą wartość odpowiednich przedmiotów; b) zwrot kapitału obrotowego (materyały surowe, wydatki na naprawę narzędzi itd.); c) t. zw. wynagrodzenie za ryzyko, tj. za szkody zrządzone wskutek przesileń rynkowych i innych podobnych okoliczności; d) oprocentowanie kapitału pieniężnego według bieżącej stopy; wreszcie e) zysk przedsiębiorcy, tj. dochód czysty, otrzymywany z przedsiębiorstwa po potrąceniu wyszczególnionych powyżej ciężarów. Odpowiednio z „własnymi kosztami“ kapitału, prof. Dargun rozpatruje „własne koszta“ pracy i według tego szematu wysnuwa zadania ustawodawstwa państwowego co do polityki społeczno-ekonomicznej. A zatem otrzymamy co następuje: a) umarzaniu kapitału stałego odpowiada zabezpieczenie robotników na starość. Robotnik powinien otrzymać corocznie sumę, równą pieniężnej wartości zużytej siły roboczej; kwotę tę może on zaoszczędzić lub też kupić za nią premię na starość. Tutaj należą także koszta pogrzebu i zabezpieczenia bytu pozostałej rodzinie; b) kosztom kapitału obrotowego odpowiadają środki potrzebne robotnikowi dla utrzymania swej siły. Tu należy, prócz wydatków na mieszkanie, odzież i pożywienie, jeszcze zabezpieczenie od choroby i nieszczęśliwych wypadków; c) na równi z uwzględnieniem możliwych strat w przedsiębiorstwie stoi konieczność zabezpieczenia robotników od bezrobocia i na przypadek nieudolności do pracy; wreszcie d) i e) częściowo wchodzą do poprzednich rubryk, po części wyrażają się w żądaniach, które autor odsuwa od bliższego rozpatrzenia. Powyższa analogia Brentana, zresztą nie przedstawiająca żadnej głębszej myśli i jedynie dająca nader smutne świadectwo o scholastyce urzędowej wiedzy ekonomicznej, zakreśla dla prof. Darguna cele państwowej polityki ekonomicznej, która stosownie winna zabezpieczyć warstwie robotniczej starość, utrzymanie podczas chorób, kalectwa i wreszcie wskutek braku zarobkowania. Jak widzimy, życzenia te wybiegają po za szranki bismarkowskiej polityki społecznej dzięki wprowadzeniu ostatniego punktu. Zresztą autor nie jest pewny, czy to ostatnie wymaganie nie przekracza już granic możliwości, gdyż tego rodzaju reformy jeszcze nigdzie nie przeprowadzono *) stowarzyszenia zaś robotników angielskich zbliżające się pozornie do urzeczywistnienia tego zadania, znajdują się w stanie przesilenia i w obawie niedalekiego upadku. Czy jednak określone powyżej reformy rozwiążą już tegoczesną kwestyę społeczną? Prof. Dargun odpowiada przecząco. Jego zdaniem, wskazane zabezpieczenia usuną jedynie najdotkliwsze następstwa nędzy, zostanie ona tylko złagodzoną. Lecz w żadnym razie państwo zdziałać nie może, aby człowiek, który ma 300 złr. rocznego dochodu, żył tak samo dobrze i dostatnio, jak inny, posiadający 3,000. A jednak właśnie w tej różnicy i w świadomości o niej spoczywa najgłębszy rdzeń kwestyi społecznej. Usunięcie jej w drodze ustawy jest więc z natury rzeczy niemożliwem, można tylko złagodzić ją za pomocą rozmaitych środków. Do tego zmierzają wszelkie korzyści przysparzane ludowi przez sposobność bezpłatnego używania zbiorów, zakładów i szkół publicznych na równi z resztą ludności, a nadto dostarczanie rozrywek w rodzaju ogrodów i zabaw publicznych. Dalszem zadaniem, zaledwie dopiero poruszonem, lecz zupełnie praktycznem, jest staranie państwa o podwyższenie istotnej zawartości zarobków. Może to nastąpić przedewszystkiem drogą usunięcia różnych przekupniów i pośredników. Autor posuwa się jeszcze dalej, gdyż wystawia nawet zasadę „rozsądnej“ organizacyi targu roboczego (przez odpowiednie ustawodawstwo co do zaludnienia, kolonizacyi i wychodztwa). Jednakże za ostatnie słowo polityki społeczno-ekonomicznej uważa już wspomniane zabezpieczenie na przypadek braku pracy. Wiemy, że wątpi on o możliwości osiągnięcia tego celu w szerokich granicach. Mniema przecież, że możnaby dużo zrobić na tem polu przez użycie znajdujących się bez zatrudnienia sił roboczych na rzecz gminy i państwa.

*) Prof. Dargun myli się. Instytucyę podobną już urzeczywistniono — tylko w postaci nadzwyczaj wstrętnej i barbarzyńskiej. Mamy na myśli angielską dobroczynność państwową z jej bastyliami (workhouseami).

Tak się przedstawia całokształt poglądów, dowodów i wymagań prof. Darguna. Streściliśmy je możliwie przedmiotowo i wyczerpująco, gdyż przedstawiają one wyraz zapatrywań już nie pojedynczych osób, lecz całego odłamu i przytem niemal najskrajniejszego urzędowej wiedzy ekonomicznej, idącego na przedzie w dziedzinie ustawodawstwa społeczno - politycznego. Z tego stanowiska wyliczenie reform pod tym względem dokonanych w Austryi i Niemczech, oraz prawdziwość niektórych twierdzeń p. D. są punktami dla nas drugorzędnymi, jakkolwiek możnaby znaleźć dużo do pomówienia. Nie możemy jednakże nie wypowiedzieć swego podziwu na widok skreślonej przez autora sielanki narad w parlamencie austryackim nad niektórymi projektami polityki społeczno - ekonomicznej, kiedy „obie strony (tj. lewica i prawica) pragnęły prześcignąć się nawzajem dowodami ojcowskiej życzliwości dla stanu czwartego!“ Posądzaliśmy prof. Darguna o większą trzeźwość.

Wracamy jednakże do przerwanego wątku. Otóż przedstawiliśmy poglądy powyżej przytoczone jako wyraz całego obozu, którego gwiazdą teoretyczną jest Rodbertus, ów lichy socyalista, jak mówi społeczna demokracya niemiecka, lecz natomiast genialny zachowawca. Ujęcie bytu robotniczego w różne ubezpieczenia państwowe, zniesienie skutków przesileń (drogą nawet usunięcia bezrządu rynku towarowego), ustanowienie stałego udziału robotnika w wytworze, tak, iżby zarobek wzrastał równolegle do wzrostu wytwórczości, takiemi są najdalej idące żądania, do których autor polski, jeśli się nie mylimy, nie posuwa się, bodźcem zaś działalności — chęć zabezpieczenia cywilizacyi od „nowego najścia barbarzyńców z łona samego społeczeństwa“ (Rodbertus). Przedewszystkiem chodzi tu zatem o skórę państwa. To pozwala nam skreślić istotę całego nowoczesnego ustawodawstwa społeczno-ekonomicznego. Otóż, w miarę rozwoju nowożytnego przemysłu, wytwarzana przezeń warstwa robotnicza organizuje się politycznie i okazuje stosowne do swych interesów dążenia reorganizacyi społecznej. Stary porządek rzeczy początkowo odpowiadał na to w sposób dobitny, lecz takie postępowanie nie było w stanie sprowadzić pożądanego skutku. Zwrócono się na drogę układów, na której wysnuto projekt tak sławnej obecnie polityki społecznej. Naturalnie, idzie tu głównie o danie jak najmniej w zamian za pozyskanie możliwie największego uciszenia. O dążnościach kompromisowych i należytej ich wartości świadczy fakt, iż zamiast oparcia powstających instytucyj ubezpieczeń na szerokiej podstawie samorządu z dołu, któryby stanowił w ten sposób szkołę ćwiczenia warstwy robotniczej w umiejętności kierowania społeczeństwem, wtłoczono je w karby biurokratyzmu, że już nie mówimy o innych wykrętach i zamydleniach. Niewielkiej wszakże trzeba przenikliwości, aby pojąć, że interesowane grupy przyjmą rzecz w należytem świetle — kompromisu, który jedynie oczyścił im drogę z niektórych zawad i pozwolił na wypowiedzenie szerszych żądań praktycznych. Nie wątpimy, że zjawią się usiłowania w kierunku nowych układów i ostatnie słowa dzisiejszej polityki społecznej staną się zaledwie pierwszemi... Głębokość i doniosłość tych ustępstw zależą i zależeć muszą od klasowo-politycznej organizacyi warstwy najmickiej; i to jest w gruncie rzeczy istotnem ostatniem słowem „rozsądnej“ polityki społecznej stanu czwartego.

*K. R. Żywicki.*

## SPRAWY EKONOMICZNE.

### DLA FRANCUZÓW.

Niedawno pisma niemieckie obwieściły pogłoskę, że między Rosyą a Francyą będzie wkrótce zawarta umowa związku handlowo-ekonomicznego. Niektóre z nich podają nawet osnowę tego projektu: Francuzi otrzymają jakieś szczególne przywileje w Turkiestanie i kraju Zakaspijskim. Jurysdykcya francuskiego konsula generalnego w Tyflisie będzie rozpostarta na cały Kaukaz, kraj Zakaspijski i Turkiestan. W Merwie, Bucharze i Samarkandzie powstaną wicekonsulaty i agentury. W zamian za to Francya jakoby proponuje Rosyi nową pożyczkę. Ruski *Dień*, zwracając uwagę na te pogłoski, nie przeczy stanowczo prawdopodobieństwa ich w pewnym stopniu. Przytem robi ciekawe uwagi: jeżeli francuzom wolno tylko utworzyć konsulaty, to przeciwko temu nic mieć nie można. Jeśli zaś chodzi o jakieś ulgi i przywileje, których nie posiadają poddani ruscy, to takim rzeczom trzeba raz na zawsze zapobiedz. „Nikt więcej, niż my — mówi dziennik — nie podtrzymuje sojuszu rusko-francuskiego nietylko pod względem politycznym, lecz i ekonomicznym; ale podstawą każdego związku powinna być zupełna równowaga interesów, nie zaś przewaga w udogodnieniach jednych nad drugimi. Jeśli każdemu z przemysłowców francuskich będzie pozostawione prawo eksploatowania przyrodzonych bogactw Rosyi, z usunięciem miejscowych poddanych na plan podrzędny, to francuzi wkrótce się staną w Rosyi tem, czem obecnie są niemcy. Zupełne równouprawnienie wobec rosyan jest jeszcze możliwem — powiada *Dień* — ale i to nie we wszystkich wypadkach, ze względu na bliższą ciała koszulę. Nadmierną szczodrością dla obcych można sobie zaszkodzić. Jeśli istotnie między Francyą a Rosyą są prowadzone jakie porozumienia w tej sprawie, pożądanem byłoby ustanowienie z góry pewnej wytycznej. Niema powodu krępować handlu francuskiego — kończy dziennik — ale niema też potrzeby dawania obcym przewagi nad miejscowym żywiołem. Wartość francuskich (jak również angielskich) towarów jest tak wysoką, że nawet pomimo wygórowanej ceny nie mogą ich wyprzeć produkty ruskie.

Bądź co bądź, pogłoski powtarzane uporczywie przez pisma, nie są pozbawione pewnych podstaw i jeśli choć w drobnej cząstce się urzeczywistnią, nie przejdą bez śladu w naszych stosunkach ekonomicznych, wtedy, gdy właśnie coraz szerzej rozprawiamy o rynkach zbytu dla siebie na dalekim Wschodzie.

### ZABIEGI NIEMIECKIE.

Od pewnego czasu niemcy baczną uwagę zwrócili na Wisłę i robią w tym kierunku wszelkie usiłowania, aby całą rzeką zawładnąć stopniowo. W ciągu roku przeszłego fakty takie uderzały już kilkakrotnie w formie pojedynczych prób rozwinięcia żeglugi parowej po za granicami państwa niemieckiego. Obecnie, według *Mosk. Wied.*, towarzystwo żeglugi parowej z Gdańska, stara się o koncesyę na urządzenie swobodnej żeglugi, towarowej i pasażerskiej na Wiśle. W tym celu podobno wysłano do Warszawy specyalnego inżeniera. Jaki był rezultat jego podróży—nie wiadomo. Widocznie jednak zamiary są trwałe, skoro się udał do Petersburga. *Now. Wremia* zaznaczając ten szczegół, rysuje przyszłe stosunki w razie pomyślnego obrotu sprawy obcych przedsiębiorców. Przecież kursuje na Wiśle — powiada gazeta — sporo naszych parowców, zadawalniających się bardzo skromną opłatą; nie widzimy więc żadnej potrzeby nowych i, co gorsza, zagranicznych współzawodników. Szkody, które spowoduje bezpośrednio wydanie koncesyi niemcom, i tak już posiadającym rozległe obszary na wybrzeżu Wisły, można streścić w następujących punktach: 1) Niemieckie towarzystwo żeglugi parowej na Wiśle wprowadzi do kraju nowe siły niemieckie, które w dziedzinie tutejszego przemysłu zagarną w swe dłonie to wszystko, co jeszcze pozostało do zabrania. 2) Wleją otuchę w serca tutejszych swych rodaków, którzy posmutnieli wskutek wydania prawa marcowego z r. 1887, obowiązującego niemców do sprzedania poddanym ruskim nabytych tu gruntów. 3) Wzmocnią i rozwiną istniejącą na Wiśle już i teraz kontrabandę towarów pruskich.

### O BEZPIECZEŃSTWO.

Ostatnie wypadki w Warszawie z kotłami parowymi poruszyły bezczynną dotychczas sprężynę środków zapobiegających nadal takim katastrofom. W tym celu odbędzie się wkrótce powszechna rewizya fabryk i zakładów, w których się znajdują kotły parowe. Niezależnie od szczegółowych sprawdzań kotłów i urządzeń maszyn parowych przez technika gubernialnego, komisya będzie sprawdzać, czy obowiązujące przepisy bezpieczeństwa w całej rozciągłości są przestrzegane. Oto są główne zadania rzeczonej komisyi: 1) Zbadanie obecnego stanu kotłów i postanowienia, czy mają być zastąpione innymi, czy też dalej działać z pewnemi tylko poprawkami. 2) Sprawdzenie, w jaki sposób i jak często odbywa się oczyszczanie kotłów. 3) Czy maszyniści, którym powierzony jest bezpośredni nadzór nad kotłem, dostatecznie są obeznani ze swą specyalnością. 4) Czy do obsługi maszyny parowej przeznacza się dostateczna liczba robotników, oraz czy zaprowadzone są stałe dożury, z częstą zmianą, aby uniknąć znużenia. 5) Czy pomieszczenia na kotły parowe odpowiadają wszelkim warunkom bezpieczeństwa. Taka rewizya powszechna ma być wykonana we wszystkich fabrykach, posiadających kotły parowe w obrębie Warszawy, oraz w całym powiecie warszawskim.

Szkoda, że to się stosuje do tak niewielkiej przestrzeni. Wszakże posiadamy mnóstwo fabryk tego rodzaju w wielu innych miastach i pojedynczo na prowincyi rozsianych. Kilka miesięcy temu mieliśmy sposobność przytoczyć w niniejszej rubryce sporo faktów znamiennych, dowodzących o zupełnem lekceważeniu życia ludzi pracujących przy kotłach parowych w całym kraju. Nadmieniliśmy nadto o zawiązującem się w Odesie stowarzyszeniu przeciwdziałającem katastrofom. Sprawę tak postawiono, iż można było jej rokować szybkie rozprzestrzenienie się w całem państwie. Dotąd jednak nic nie słychać o postępach tych pięknych usiłowań.

### ZŁOTO.

Znaczne zniżenie się waluty złota wywołało kilka bankructw zupełnych lub częściowych śród przedsiębiorców kopalnianych. Popłoch w tym kierunku rozszerzył się i nie ustaje dotąd, tak iż nareszcie ministeryum dóbr państwa postanowiło obmyślić szereg środków dla podtrzymania przemysłu złotego. Wymienimy tu zasadnicze punkty: 1) Powiększenie rozmiarów pożyczek z oddziałów Banku państwa na złoto czyste — do trzech rubli za zolotnik. 2) Powiększenie podatku do 10 rs. za prawo prowadzenia przemysłu złotego. 3) Urządzenie w Irkucku składu najnowszych maszyn udoskonalonych oraz narzędzi, niezbędnych do prowadzenia tej gałęzi przemysłu. 4) Zmniejszenie podatku pobieranego od przemysłowców kopalnianych za przewóz złota z Syberyi do Petersburga, do rozmiarów istotnej stopy wydatków kasy skarbowej w tej operacyi. 5) Wypłata na asygnacye z mennicy zamiast po sześciu, po trzech miesiącach od chwili dostrzeżenia

złota. 6) Urządzenie kas przezorności w celu zabezpieczenia zarobków robotniczych. O ile środki te będą skuteczne, zobaczymy. Można jednak przypuszczać, że same przez się nie odpowiedzą one w zupełności zadaniu, gdyż na przesilenie w przemyśle złotym znacznie wpływają zewnętrzne stosunki ekonomiczne, a te nie łatwo dadzą się zamienić. Co się zaś tyczy niepowodzeń i strat, ponoszonych przez przemysłowców złota, wynikają one nieraz z ryzykownej gry na szczęście. Mamy do zanotowania przykład ze źródła prywatnego o pewnym przemysłowcu, który uporczywie trzymał asygnacye, czekając na podniesienie się kursu imperyałów. W ten sposób przetrwał spokojnie chwilę najlepszą i ostatecznie doczekawszy się najniższego kursu, stracił olbrzymie sumy.

*Z. P.*

## O INSTYTUCYACH FABRYCZNYCH.

(Odczyt E. Plebińskiego).

Wyłamaliśmy się z dziwnego u nas zwyczaju szerokich rozpraw o tem tylko, co przechodzi do ogółu drogą przedstawień publicznych, przez estradę lub scenę, a milczenia o tem, co na tę drogę nie wchodzi lub wejść nie może. Dlatego nie dajemy sprawozdań ze wszystkich kolejno wykładów publicznych a pomówimy szczegółowo o występie p. Plebińskiego. Jego bowiem odczyt należy bezwarunkowo do wybitniejszych objawów tegorocznego naszego życia publicznego. Można się z nim nie zgadzać w oddzielnych punktach, lecz niepodobna nie przyznać, że po raz pierwszy u nas poruszono w żywem słowie kwestyę społeczną. Oto jego osnowa, o ile ją powtórzyć możemy z pospiesznej notatki.

Nowoczesny rozwój ekonomiczny streszcza się w rozwoju przemysłu fabrycznego, polegającego na maszynie. Maszyny stanowią olbrzymią potęgę techniczną, lecz rozwój opartego na nich przemysłu z konieczności, mocą właściwych sobie praw, sprowadza ujemne zmiany w społeczeństwie. Niszczy on rzemiosło, odrywa włościanina od roli, stwarza wielkie miasta i klasy społeczne, przedzielone głęboką przepaścią, wreszcie jako nieodzowny płód niesie z sobą nędzę całych tłumów pracujących. W ten sposób owoce nowożytnego rozwoju ekonomicznego stają w rażącej sprzeczności z idealnymi celami, które zakreślamy dla ludzkości i dostrzegamy w możliwie wszechstronnem doskonaleniu jednostki, w jaknajwyższym rozkwicie wszystkich jej władz. Jest to jedyny godziwy probierz dla sądzenia o wartości ustroju ekonomicznego. Tymczasem tegoczesny rozwój przemysłowy pociąga za sobą zgoła co innego...

Obecny ustrój gospodarstwa narodowego opiera się na współzawodnictwie. Jest to źródło, z którego, prócz spekulacyj, huraganów rynkowych i w ciągu dalszym rozpadania się społeczeństwa na wrogie obozy, wypływa jeszcze kwestya najważniejsza — robotnicza. Robotnik na pozór jest swego rodzaju przedsiębiorcą, sprzedającym towar zwany pracą i otrzymującym w zarobku cenę jego. Umowa wzajemna pomiędzy nabywcą a sprzedawcą tego szczególnego towaru jest aktem pomiędzy równoprawnemi osobami. Lecz to tylko się tak wydaje. Towar-praca jest w gruncie rzeczy wyjątkowym, jego zaś sprzedaż — stanowczem a zupełnem zaprzeczeniem równoprawności, wstrzymującą wszechstronny rozwój sił jednostki ludzkiej. Dowodów na to nie brak. Zaprzedawanie małoletnich dzieci, straszne wypadki w fabrykach i wiele innych objawów aż do zwyradniania rodu ludzkiego — oto są skutki. Musiało więc państwo pośpieszyć z zapobieżeniem dalszemu karłowaceniu warstwy pracującej, wytwarzając tak zwane ustawodawstwo fabryczne, szeroko już rozgałęzione w krajach Europy.

Stan robotników wiąże się ściśle z rozwojem przemysłu fabrycznego. Są to pytania, bardzo mało u nas zbadane. Nawet statystyka co do ilości fabryk i robotników naszego kraju jest niepewna. Niejakie światło rzuciły dopiero badania dwóch komisyj rządowych, jednej — ministerstwa spraw wewnętrznych co do cudzoziemców, drugiej— skarbu z powodu skarg przemysłowców środkowej Rosyi. Do tego dodać należy szczegóły, ogłoszone przez inspekcyę fabryczną. Ta ostatnia podaje liczbę fabryk w kraju na 3,600 (bez rzemiosł), robotników zaś fabrycznych na 120—130 tysięcy. Przemysł nosi charakter cudzoziemski. W fabrycznym ośrodku warszawskim, jeszcze najbardziej wolnym od wpływów obcorasowych, mamy na 160 zakładów tylko 18% w rękach rdzennie miejscowego żywiołu, 12% — żydowskiego, 16% niemieckiego. W innych ośrodkach, łódzkim i sosnowickim, nawet wśród robotników cudzoziemcy stanowią odnośnie 8% i 33% (a nawet 75%). Rozwój swojskiego przemysłu szedł do r. 1886 bez żadnych hamulców, jednakże nie wytworzył nigdzie tak jaskrawych nadużyć, jakie spostrzegamy za granicą. Wypłata odbywa się w określonych terminach, truck-system nieznany, ściągane kary nie idą do kieszeni pracodawców, dzień roboczy nie przybiera potwornych rozmiarów. Wprawdzie istnieją zboczenia, lecz ogólny charakter stosunków jest humanizmem owiany. Widzimy mnóstwo urządzeń filantropijnych. 25% wielkich zakładów posiadają kasy oszczędności, około 50% kasy dla chorych. Przy wielu przedsiębiorstwach znajdują się stowarzyszenia spożywcze. 7 wielkich zakładów posiada urządzenia, zapewniające emeryturę na starość, lub w razie kalectwa, kilka innych zabezpiecza robotników w odpowiednich instytucyach. I wszystko to powstało zwykle za pobudką od przedsiębiorcy. W Żyrardowie np., gdzie ilość robotników wynosi 7,000 osób, znajdujemy aż 18 rozmaitych urządzeń, pochodzących z takiego źródła. Zakład wybudował 120 domów, stanowiących oddzielną dzielnicę: rzeźnię, młyn, sklep z pieczywem i mąką. Istnieje stowarzyszenie spożywcze „Oszczędność" od r. 1882; lista członków robotników w r. 1887 wynosiła 167 głów, obrót zaś 20 t. rs. Pralnia z 20 miejscami, wodą zimną i gorącą, wyżymaczki itd. (robotnicy płacą za używanie 3 kop. od godziny) — zapłacono za 35 tys. godzin. Wanny i łaźnie, z których korzysta rocznie 3,200 osób. Bezpłatna pomoc lekarska, apteczna i szpitalna (zakład daje przeszło 20 t. rs. na utrzymanie tych urządzeń); zapomogi pogrzebowe. Dostarczanie kobietom do domu robót; w 1886 r. 188 kobiet zarobiło 19 tys. rs. Instytucya oszczędności, w której robotnicy posiadali 35 t. rs. Kasa oszczędności pod nazwą Dietricha; zakład ofiarował w postaci książeczek oszczędności 30,000 rs. 600 najstarszym robotnikom, a nadto procenty od 50,000 dla 60 robotników rocznie. Ochronka dla dzieci od 3 lat z obiadem darmo dla uboższych a dalej mieszkających z 43 osobami dla dozoru, a nadto 10 szkół elementarnych. Kaplica z kapelanem i zakrystyanem. Park, koncerty i tańce, z prawem wejścia za 5 kop.

Lecz z tych przykładów nie wolno jeszcze sądzić o istocie rzeczy. Pytanie, czy byt robotnika naszego odpowiada godności ludzkiej, nie może być rozstrzygnięte dla braku danych. Najgorzej stoi ośrodek sosnowicki — dość powiedzieć, że kobieta tutaj zarabia tylko połowę tego, co w łódzkim. Inspekcya fabryczna dotychczas dostarczyła wiązankę szczegółów, wprawdzie bardzo szczupłą, z przemysłu cukrowniczego. Jest to gałąź, najgorzej stojąca co do uposażenia robotnika. Zarobek, przy odmawianiu wszystkich najmniejszych wydatków na ubranie itd., jeszcze nie wystarcza na pokrycie najniezbędniejszych potrzeb. Przytem panuje wstrętny zwyczaj karania za wzięcie choćby kawałka cukru z oddawaniem części donosicielom. Zarobek dorosłego mężczyzny w naszych cukrowniach jest o 33% niższy od zarobku dzieciaka we francuskich...

Takiem było zawarcie odczytu p. Plebińskiego. W streszczeniu pominęliśmy kilka razy podnoszone znaczenie filantropii, punkt, wraz z przesadzonym optymizmem względem naszych stosunków fabrycznych, stanowiący jedyne słabe strony wykładu. Zresztą odskakują one jaskrawo i nawet stają w sprzeczności z teoretycznymi wywodami prelegenta... Optymizm swój sam p. Plebiński dobitnie później rozbił faktami z cukrowni...

*K.*

# LITERATURA I SZTUKA.

## LITERATURA POLSKA.

Jan Kasprowicz, *Poezye.*

(Dokończenie).

A teraz próbki stosunków chłopa do „inteligencyi."

Żył sobie chłopisko spokojnie, a chował swą Jagnę jak oko w głowie i wybrał dla niej parobczaka jak świecę. Tymczasem Jagna robiła w fabryce a panicz kręcił się przy niej. Nim wyszły zapowiedzi chłop dostał wnuka: syna fabrykanta.

Zapłonął ogniem strasznej zemsty, nie przypuścił paniczowi, ni córce, i oto dziś biedny płaci to więzieniem... Umarł w nędzy. Ale kosztuje pogrzeb: ksiądz, grabarz, podzwonne, pokładne. Nieszczęśliwa wdowa prosi jegomości: „ja biedna, nie kradnę." A ksiądz: „nie pijcie, będą grosze na msze i ofiary," a tymczasem zabiera wszystko, czego dopadnie. Zaniosła pościel, ale dzieci poginęły od zimna i głodu...

Do szpitala powieźli biedaka; świetne przyniósł mu rok ten podarki: sińce i połamany grzbiet.

Dawniej odzywały się takie oto głosy wśród szlachty: „Ja ci zawsze mówiłem Asanie, że na dyabła tym chamom nauka, chłop pokorny, póki jest w biedzie i nieuctwie, póki widzi koniuszki kańczuka," lecz odkąd niemcy zabrawszy szlacheckie majątki, przyrzekają chamowi: chleb i oświatę — poszli nasi do głowy po rozum, widzą, że olbrzym ludowy, to nie plewy, ani sieczka, zabierają się więc do oświaty ludowej, lecz cóż z tego, kiedy dobrodziejstwa szlacheckiej kultury ciekną cuchnącem korytem „kółek" i „biblioteczek" zapchanych „majowymi miesiącami," „trąbami ostatecznymi" itp. rupieciami.

Raczył pan zauważyć między gawiedzią zdolnego chłopaka — zapewne autora niniejszego zbioru — więc dla pozorów filantropii, czy patryotyzmu dał chłopca do szkół i płacił za niego. Niedaremnie ksiądz proboszcz odradzał: „Nauka — mówił — to ogień piekielny, którym mędrkowie chcą podpalić kościół boży!" Lecz udobruchał się może, gdy się dowiedział, że chłopczysko miał zostać księdzem.

Tymczasem malec, chłonąc skarby wiedzy wyrósł na dzielnego młodzieńca. „Masz tu chamów — wrzeszczy dobrodziej po niewczasie — wychowałem sobie gadzinę."

Wielce znamienną jest erotyka poety, zgrupowana pod napisem „O niej." Obce są lutni jego miłosne kwilenia, zachwyty mistyczne lub zmysłowe rozkoszowanie. Miłość poety do „beznamiętnego, niewinnego dziecka," to talizman rozpraszający jego zwątpień cienie, to pancerz odrodzenia, bu-

dzący w nim dążenia do zerwania pęt i znamion heloty, to pragnienie nadludzkiej siły do męczeństw lub nieugaszonego ognia do boju, fałszem i uciskiem — słowem miłość poety rozpływa się w miłości powszechnej, nie w tej miłości skażonej rozbratem z naturą i uginającej się pod biczem pokutników, nie znika w szale egzaltacyi bezpłodnej, karmionej marzeniami tylko, ale hartuje się w tej miłości społecznej, płomieniejącej twórczym rozsądkiem, potężnej braterstwem ludów, przewracającej harmonię między zamiarem a czynem, między celem a pragnieniem sławiejącej w kościele ludzkości, spokój, prawdę, dobro i swobodę w tej miłości społecznej, posiadającej siłę gromu i blask słoneczny niebios...

Końcowa wiązanka rymów „Z motywów biblijnych,“ chociaż tonem i kolorytem zbliża się do świata oryentalnego i dostrojona jest do prostoty i grozy epoki biblijnej, przecież i ona zdradza piętno kierunku społeczno-narodowego. Dłuższe utwory, jak „Aryman i Oromaź“ należą do mniej udatnych i przypominają wielkich romantyków (Shelleya, Krasińskiego itp.). W ogólności przeczy poeta raczej zbytkiem idealizmu, niż krewkością naturalizmu.

Brak mi już miejsca na scharakteryzowanie tej prostej, zgrzebnej tkaniny, w którą przeoblekł poeta swą wielkopolską muzę. Pewne niezaprzeczone łamanie się z formą sprawia wrażenie, nietylko „jakby wywoływane było umyślnie...“, język miejscami wzorzysty i błyszczący, bywa nieraz tak twardy i ciężki.

*H. Biegeleisen.*

## NIEUDOLNE ZABIEGI I STARGANA PRZĘDZA.

T. Jeske-Choiński, *Z kulą u nogi.*
M. Rodziewiczówna, *Dewajtis.*

Czy można podołać „i szczęściu osobistemu i pracy na chleb powszedni i działalności publicznej,“ czy można być „kochankiem, mężem, ojcem i uczonym równocześnie,“ jeśli się nie posiada majątku? Takie zagadnienie stawia sobie p. J.-Ch. i z boleścią woła: Niestety! „Za wiele to obowiązków na siły jednego człowieka.“ „Nie szkodzi małżeństwo człowiekowi zamożnemu“ — upewnia nas dalej ustami jakiegoś Wicka. Nie szkodzi również chłopu. „Kto jednak przyszedł na świat z piersią na miarę szerszą, a nie przyniósł z sobą dużego worka z monetą, ten powinien zamknąć uszy na podszepty amorka, jeśli nie chce zginąć.“ Jakże surowy p. J.-Ch.! Sam to nawet czuje i, obawiając się, by, który z niezamożnych uczonych nie zaprotestował przeciw wyrokowi, skazującemu go na bezżeństwo — dodaje, iż od biedy można się ożenić nawet przed otrzymaniem katedry uniwersyteckiej, ale z warunkiem, że ktoś z krewnych przez parę lat dbać będzie o utrzymanie żony i dzieci uczonego osobnika, co mu umożebni wystaranie się przez ten czas posady. Nie śmiejmy się przez chwilę z tego dziecinnego załatwienia kwestyi i zastanówmy się, czy na pytanie, postawione przez p. J.-Ch., istnieje odpowiedź wyrozumowana i zamknięta w teoryi, usprawiedliwiającej ryczałtowo poszczególne wypadki życia. Prosta rzecz, iż — nie. Każdy z niezamożnych ludzi, poświęcających się nauce, rozstrzyga je dla siebie, a rozstrzygnięcie to, jest wypadkowem wielu bardzo czynników indywidualnych i życiowych — odmiennych w każdym wypadku i niedających się ująć w żadną regułę. Siła, z jaką w tym człowieku przemówi potrzeba szczęścia rodzinnego, właściwości umysłowe i fizyczne, stanowiące o ilości pożytecznej pracy (taka opłaca się zawsze), którą wyprodukować może, suma takich samych właściwości i przymiotów moralnych kobiety, którą zechce uczynić swą towarzyszką, wreszcie, potrzeby umysłowe i warunki ekonomiczne społeczeństwa, któremu ofiarowuje owoce swych trudów — oto zaledwie kilka z wiązanki faktów realnych, z którymi rachować się będzie niezamożny uczony, gdy zapragnie się żenić. Najpóźniej, jeśli nie nigdy, skorzysta on z rad i przestróg p. J.-Ch. I nie przerazi się — pewien jestem — tą nawet, na którą wiele nacisku kładzie autor, iż społeczeństwo nasze skąpo wynagradza prace naukowe, takie nawet, które są wynikiem *trzystu* nocy przemyślanych i trzystu ranków, spędzonych w bibliotekach; nie przerazi się, gdyż będzie miał wątpliwość, czy istotnie odpowiadała naszym potrzebom umysłowym owa „Historya upadku Rzymu,“ o której sam jej autor powiada, że była „niedojrzałym, przedwcześnie okwitłym owocem niedoświadczonej młodości,“ kompilacyą z tego, co „przeszło z dzieł innych autorów i z głów profesorów“ do jego głowy.

P. J.-Ch. miał przed sobą bardzo wdzięczny, choć nienowy, temat do powieści: dramat człowieka, który umysłem swoim podsycić usiłuje płonący kaganiec nauki, a którego tęskne pragnienie osobistego szczęścia, otwierającego się przed nim w miłości, ujarzmione jest biedą. Dostrzegłszy w życiu temat ten, powieściopisarz dać nam może jedynie obraz pokazujący, jak w *jednym* wypadku ułożyły się czynniki psychiczne i życiowe, stanowiące o tem, czy małżeństwo dla ubogiego uczonego jest dobrodziejstwem, czy „kulą u nogi.“ Lecz obraz ten, ani nawet dziesiątek podobnych nie upoważni nas do wyprowadzenia teoryi, którą wyżej streściłem, a którą p. J.-Ch. mozolnie zbudował, poszywawszy nitkami dowolnie wytwarzanych i psychologicznie nieusprawiedliwionych położeń, jakie każe przebywać swemu bohaterowi — obfitość własnych sentencyj, zdań moralnych i praktycznych wskazówek, zalecając je, jako prawdy najlepszego gatunku, z pierwszej ręki życia poczerpnięte.

Może jednak obłok autorskich złudzeń przysłania w oczach p. J.-Ch. tę nagą prawdę, iż utwór jego niema żadnej styczności z życiem i jako taki nie jest powieścią, ani opowieścią. Odsłońmy ją więc. W życiu widzimy ludzi, którzy czują i myślą — u p. J.-Ch. tylko zlepki fałszywych frazesów. W życiu rozsnuwa się pasmo wydarzeń, zawsze logicznych, bo usprawiedliwionych masą różnych przyczyn — u p. J.-Ch. ogniwa wątku tego są, jak powiedziałem, dowolnie dobrane, niczem niezwiązane i nieuzasadnione. Bohaterowi jego Opatrzność, przy urodzeniu, przypięła skrzydła, aby „polecial w krainy przeszłości i wydobył z jej grobów wskazówki i naukę dla współczesnych;“ słuszną więc, poniekąd, rzeczą jest, iż nie potrzebujemy wiedzieć, jak w szkołach i uniwersytecie urabiał się umysł jego, jak zbudził się w nim zachwyt dla historyi i skąd wyssał przekonanie, że on to właśnie powołany jest na najwyższego sędziego, „który wymierza sprawiedliwość mocarzom świata, nieprzedajny i nieustraszony!“ W całym jednak utworze nie znajdujemy wskazówki, by miłość była równie niespodzianym wynikiem interwencyi opatrznościowej, trudniej nam więc usprawiedliwić bohatera, gdy, opowiadając swe życie, przemilcza o tym procesie psychicznym, który doprowadził go do tak gwałtownego wezbrania uczuć, iż „nie mógł usiedzieć na jednem miejscu, a w nocy rzucał się na łóżku niespokojnie!“ Prawdopobnie przyczyną tego był krewki temperament, którym niemało się chlubi, lecz zostaje to domysłem. Wiemy tylko, że przyjechał na wakacye do kolegi, ujrzał tam istotę płci żeńskiej, małomówną i przesuwającą się cichą stopą po dworze, w drodze od kuchni do piwnicy, a po czterech tygodniach wpadł już w ten stan chorobliwy i — zgodźmy się — nader niemiły, który nie dozwalał mu znaleźć miejsca do siedzenia i pozbawiał go snu spokojnego. Ale co dziwniejsze, że, gdy po pewnym czasie te nieustające przypadłości doprowadzają go, naprzód, do zastanowienia się, jak dalece uległby kompromitacyi, gdyby ktoś zobaczył takie „niemocne szamotanie się syna wojownika,“ a następnie do chęci wyjechania z miejsc niefortunnych — dowiadujemy się z ust małomównej istoty, że i ona z niepojętych przyczyn doświadcza mniej więcej podobnych cierpień. Młodzi na swój sposób rozwiązują zagadkę, tłomacząc sobie wzajemnie, iż się kochają, no a my z konieczności musimy ze zdaniem ich się pogodzić.

Niepodobna nam drukować w tem miejscu całej książki p. J.-Ch. i wyrzekamy się przytaczania wszystkich dowodów braku logicznego związku i uzasadnienia w wątku jego opowieści. Powiedzieć jeszcze należy to: w życiu jest akcya, która przechodzi do powieści; wprawdzie p. J.-Ch. pokazuje nam, że bohater jego stoi, spaceruje, siedzi, jedzie w wagonie lub wykonywa ruchy skończonego waryata (np. żegnając narzeczoną, chwyta ją w pół, unosi w górę, stawia na ziemi — rzuca się przed nią na kolana i całuje „skraj jej sukienki“), słyszymy nawet jego rozmowy z równie chimerycznemi istotami, jak on sam, lecz to wszystko nie jest echem gwaru życia, ani odbiciem ruchliwej fali jego.

Ciężki, jałowy i wymuszony styl tej opowieści najlepszy jest tam, gdzie, w celu okraszenia go, autor nie dobiera barwistych i głębokich porównań i określeń, gdyż owocem tych mozolnych widocznie usiłowań są dziwolągi. Oto parę: „niebo, uśmiechnięte tajemniczo, jak *sfinks*, *piramid drzeh odwieczny*;“ „jesień, zimowej bezlitości zwiastun złowrogi.“ Zwyczajną herbatę nazywa wyskokiem wonnych liści! Powiedzmy ostatnie słowo. Każdy może pisać, co mu się podoba, nawet powieść tendencyjną, udowadniającą, że gdyby butów na świecie nie było, to ludzie chodziliby na głowach, lecz należy pisać z talentem. Bez niego... Ach! już dość. Może p. J.-Ch. reszty się domyśli, ja jestem tylko ułomnym człowiekiem i nie mam sił oddychać dłużej tą wonią pożerającej nudy i filisterskiego zaduchu.

(D. n.).
*F. G. B.*

## Z NIEMIEC.

*30 marca.*

„Pieśń ludzkości“ Harta.— Kretzera „Ein Verschlossener Mensch.“ — Mauerhoffa Charakterystyka Karola Bleibtreua. — Steigera „Kampf und die neue Dichtung.“ — Wildenbrucha tragedya „Die Karolinger.“ — Philippiego dramat „Veritas.“

W powodzi utworów epickich, rymowanych i nierymowanych, zalewających rynek literacki Niemiec, jako towar wytwarzany dla potrzeby chwili, pojawiło się dzieło o założeniu rozległem, filozoficznem, z pretensyą do nieśmiertelności. Występuje z nią mało zresztą znany poeta Henryk Hart, ogłaszający pierwszą księgę opowieści zatytułowanej „Pieśń ludzkości.“ Hart mieni się realistą, gdyż „wszystko, co opowiada, przeżył w sobie, wszystko, co przedstawia — w sobie widział, z bohaterami swymi czuł i z nimi się rozwijał.“ Dla każdego nieuprzedzonego czytelnika zaś utwór jego jest czysto symbolicznym. Nie dlatego, że autor opowiadać chce dzieje nie bohatera jednego, lecz całości, że zamierza napisać nie romans, ale epopeę kulturną; jeno dlatego, że miasto przedstawiać ludzi, których obserwował, przedawnionym sposobem obiera dwa osobniki, nacechowane jako ludzie pierwotni i na nich demonstruje rozwój ludzkości w szeregu czynów i zdarzeń, jako to: walka o kobietę, przemiana

rozkoszy zmysłowej na miłość małżeńską, powstanie wstydu i odzienia, odkrycie ognia i lekarstw, powstanie wiary w duchy i w Boga. Są to obrazy na pół sielankowe, romantyczne, sentymentalne, naiwne, na pół dzikie, naturalistyczne, niestanowiące bynajmniej poezyi realistycznej; bo Hart czerpie z fantazyi, nie z doświadczenia, z książek, nie zaś z życia.

Taką jest pierwsza księga utworu, zatytułowana „Tul i Nabila"; takiemi będą i dalsze, które Hart szkicuje, a których napisać zamierza jeszcze 23. Ostrożnie i racyonalnie postąpił sobie autor, przedstawiając teraz już utwór swój krytyce. Ta bowiem ostrzeże go, że przy najlepszej chęci zdoła stworzyć tylko obrazy ideologiczne, które bynajmniej nie będą oznaczały zwycięztwa poezyi w współzawodnictwie z historyą i filozofią. Z większem powodzeniem użyćby mógł niepospolitego swego talentu w ramach innego utworu. Obok filozoficznego pogłębienia cechuje bowiem dzieło jego niezwykła technika językowa. Rymowane jamby jego odznaczają się ujmującą rytmicznością i wielką rozmaitością dźwięków, a chociaż wątpić można, czy dokończy „Pieśni ludzkości," to jednak prawdopodobnem jest, że stworzy jeszcze dzieło niecodzienne.

Przepowiednię podobną powtarzają realiści niemieccy po pojawieniu się każdego nowego utworu Maksa Kretzera, którego Bleibtreu, Conrad i towarzysze dawno już ochrzcili „niemieckim Zolą." Jeżeli niemców na lepszego Zolę nie stać, to chyba z francuzami walczyć nie mogą o palmę pierwszeństwa na polu epiki. Posłuchajcie treści najnowszej powieści Kretzera i powiedzcie, czy podobnej nie mógł napisać Spielhagen, Lindau lub Hopfen.

Robert Gatter, syn robotnika, ucieka od znęcającego się nad nim ojczyma, a zrozpaczony nędzą swą, rzuca się do kanału przecinającego miasto. Atoli zrozpaczonego chłopca wyciągają z wody żywego jeszcze, a bogata właścicielka fabryki, pani Dora Sommerlandt, wracająca właśnie z teatru, przyjmuje go do domu swego, a następnie postanawia wychować jako towarzysza syna swego Alwina. Sklania ją do tego głównie stary lekarz domowy Hahneman, który od pierwszej chwili czuje do Roberta sympatyę dla niego samego niejasną. Robert utrzymuje się w łaskach pani Sommerlandt mimo prześladowań starej panny Adeli, przebywającej w jej domu. Z Alwinem żyje w przyjaźni; przyjaźń tę podkopuje jednak różność ich charakterów, a bardziej jeszcze obecność panny Milli, siostrzenicy pani Sommerlandt. Wtem następuje zdarzenie, które wpływa stanowczo na dalsze losy osób działających. Alwin spotyka na strychu fabryki robotnika, któremu wstęp tam był wzbroniony. Robotnik ów, typ łobuza berlińskiego, wyprawiać zwykł nad otworem sztuczki karkołomne. Na upomnienie odpowiedział kpinami, poczem Alwin, porwany gniewem, potrąca go; robotnik, straciwszy równowagę, spada na dół i umiera. Zdarzeniu temu przypatrywał się Robert; przerażony uciekł do ogrodu, by opowiedzieć je pannie Milli, sądząc, że robotnik tylko się skaleczył. Zmieszanie Roberta Milli pojmuje inaczej i uprzedza go, oświadczając mu swą miłość. On tłumiąc własne uczucie, zwraca jej uwagę na to, że Alwin ją kocha. A kiedy rozchodzi się wieść o zamordowaniu robotnika, Robert postanawia wziąć winę na siebie, by ocalić pani Sommerlandt jedynego jej syna. Przeszkadza mu w wykonaniu jego zamiaru Alwin, który przyznaje się do czynu popełnionego, a przekonawszy się, że Milli go nie kocha, dostaje pomieszania zmysłów, a następnie umiera. Robert zaś poślubia pannę Milli i zostaje spadkobiercą pani Sommerlandt. Jeżeli nadmienimy jeszcze, że powodem sympatyi doktora Hahnemana była okoliczność, iż matka Roberta była kochanką jego, trudno będzie zrozumieć, jak romans, przypominający tak dalece starą modłę, wyjść mógł z pod pióra autora „Zmarnowanych" i „Trzech kobiet." Wprawdzie i w najnowszej powieści swej Kretzer niezupełnie sprzeniewierza się recepcie literackiej realistów, przedstawiając południową część Berlina, nadając ludziom i stosunkom charakterystyczną barwę miejscową; jednak liczny zastęp figur dodatnich, sympatycznych w utworze jego, a bardziej jeszcze silne zaakcentowanie żywiołu humorystycznego, uwydatnionego zupełnie tak, jak w powieściach poprzednich beletrystów niemieckich, świadczy o tem, że autor zaczyna kokietować wpływową krytykę niemiecką i szerokie koło wstydliwych czytelniczek. Może i w tem niemiecki Zola naśladuje mistrza francuskiego, który napisał „Le rêve" i stara się o krzesło w akademii.

Bądź co bądź Kretzer, który kształci się, rozwija i ogłasza dzieła swe w odstępach czasowych, pozwalających pracować sumiennie, sympatyczniejszą jest w literaturze niemieckiej postacią, aniżeli inni partyzanci realizmu, którzy co roku w ozdobnej broszurce ogłaszają światu mesyaniczne swe powołanie i ścinają głowy hydrze idealistycznej. Karol Bleibtreu, którego „Rewolucya w literaturze" miała jeszcze poniekąd podstawę objektywną, wystąpił z broszurą, zatytułowaną „Walka o byt w literaturze," poświęconą całkowicie dziejom własnej jego karyery literackiej. O broszurze tej pisma niemieckie nie wspominały*). Świeżo wszakże jedno z najpoważniejszych pism literackich, założone przez Rudolfa Gottschalla „Blätter für litterarische Unterhaltung," umieściło z powodu niej obszerny artykuł o Bleibtreuu, stanowiący niejako generalny z nim obrachunek. Autorem znakomitego tego artykułu jest Emil Mauerhof, znany jako przyjaciel kierunku realnego w piśmiennictwie. Zaczyna od oświadczenia, że to, co młoda szkoła niemiecka zowie „nową poezyą niemiecką," nie jest ani nowem, gdyż poezya realistyczna jest starą jak świat, ani poezyą, która powinna równomiernie odzwierciedlać światło i cienie, ani niemieckiem, gdyż wzięto je u rosyan, francuzów i skandynawczyków. Zwracając się do Bleibtreua, o którym twierdzi, że w ostatniej swej broszurze przedstawia wyłącznie własną „walkę o byt w literaturze," opisuje karyerę literacką przewodnika realistów niemieckich. Bleibtreu wystąpił na arenie literackiej po raz pierwszy przeszło przed dziesięciu laty, jako młodzieniec dziewiętnastoletni. Zachęcony przez krytykę, która pierwszy utwór jego nazwała „niezwykle dojrzałym," z niesłychaną szybkością ogłaszał swe prace, łaknąc rozgłosu, jakim się cieszyli najwięksi poeci nowocześni. Zdawało mu się zrazu istotnie, że dorównywa im talentem; a że świat uznać tego nie chciał, on odpłacał mu się gniewem i pogardą, które zrodziły u niego rozdrażnienie i rozgoryczenie. W tem usposobieniu objął redakcyę pisma literackiego *Magazin für die Litteratur*, nie dlatego, aby być apostołem realizmu, ale żeby wykładać ewangelię własnej wielkości. W okresie tym, kadząc sobie samemu w sposób niebywały, występował bezwzględnie i gwałtownie przeciw wszystkim niemal znanym autorom i krytykom, tak iż ci, a wraz z nimi wielka część publiczności całą działalność literacką Bleibtreua uważać poczęli za patologiczną, jego zaś za straconego dla literatury, jako opętanego obłędem wielkości. Według Mauerhofa, sąd ten jest przedwczesnym i krzywdzącym. Mniema on, że Bleibtreu, zwłaszcza co do głębokości umysłu, stanąć może obok najpierwszych autorów współczesnych europejskich. Mimo to prace jego dotychczasowe, zdradzające miejscami geniusz, w całości są niesmaczne. Powodów tego zjawiska szuka Mauerhof w istocie poety. Nie jest to rzeczą przypadkową, że Bleibtreu zajmuje się głównie dwoma mężami przeszłości: Byronem i Napoleonem I. Jego indywidualność i działalność publicystyczna przypomina obie postacie. Z Byronem dzieli olśniewającą zręczność i szaloną próżność; z Napoleonem bezgraniczne samolubstwo, gwałtowną potrzebę wybicia się na wierzch i skłonność do humbugu. Do Byrona zbliża go też natura namiętna i szczerość, która z karyerowiczowstwem w ciągłej pozostaje niezgodzie. W tym rozdźwięku, tkwiącym na dnie natury Bleibtreua, upatruje Mauerhof powód spaczenia dotychczasowych jego utworów. Party żądzą sławy, pisał utwory swe szybko i lekkomyślnie i już w okresie, w którym zaczynał dopiero uczyć się i rozwijać, wmawiał światu, że jest artystą dojrzałym, że prace jego są „niesłychanie wykończone." Otoczywszy je w ten sposób na zewnątrz reklamą niebywałą, sam niezadowolony, w gorączkowym pośpiechu nowe rozpoczynał dzieło, które wnet znowu ogłaszał światu jako wiekopomny „czyn literacki." W głębi zaś coraz bardziej wzrastało u niego zwątpienie o własnym mesyanizmie. Oszałamiał się więc coraz gwałtowniejszem występowaniem w publicystyce, drapiąc się w togi największych duchów przeszłości i wymyślając nieistniejące w rzeczywistości walki obozów literackich, walki, których urojona wielkość i jego na sztuczny wynosiła piedestał. Według Mauerhofa, Bleibtreu przebywa obecnie przełom, z którego wyjdzie zwycięzko; pozna błędy dotychczasowego postępowania i sposobu tworzenia a skupiwszy siły, zajaśnieje jeszcze na literackiem niebie Niemiec jako gwiazda pierwszorzędna; jemu jednemu bowiem przypisuje Mauerhof istotny talent dramatyczny wśród współczesnych autorów niemieckich. Dotychczasowa działalność Bleibtreua wywarła wpływ szkodliwy; od niego to wzięli młodziutcy autorowie ów ton śmiały, zuchwały, od niego wzięło początek zdziczenie smaku literackiego, rozwiązłość stylu, bezrozumne powstawanie przeciw wszelkiemu idealowi w sztuce, który wymaga od pisarza pracy sumiennej, długiej; ambitni zaś reprezentanci „nowej poezyi niemieckiej" mają zaledwie czas na szkice chaotyczne.

Jak trafnemi są uwagi Mauerhofa o wpływie Bleibtreua, dowodzą świeże prace młodych realistów niemieckich, z których wybierzemy jako najcharakterystyczniejszą broszurę Edgara Steigera p. t. „Der Kampf um die neue Dichtung." Oto, w jakim tonie przemawia młodziutki autor: „Kto istotnie posiada zdolność pojmowania nowych myśli, niechaj przypatrzy się nowemu zupełnie a jednak tak prostemu sposobowi, w jaki stawiam zagadnienie tragiczne, a przeczuje może, dlaczego książka niniejsza oznacza zupełne przeistoczenie i odnowienie filozofii sztuki. Tak, twierdzę bez ogródek i bez wahania: znowu ktoś raz postawił jajko Kolumba na wierzchołku! Rozumie się samo przez się, że teraz każdy truteń powie, że i on potrafiłby tę sztuczkę, gdyby był chciał, i że wie oddawna wszystko, co powiedziałem."

Skoro najmłodsi reprezentanci realizmu niemieckiego w ten sposób na śmieszność się narażają kostiumem swym z lwiej skóry uszytym, to odróżnić od nich należy dojrzalszych realistów, z których niejeden istotnie lwie kły zdradza. Z wielką siłą dramatyczną napisaną jest najnowsza tragedya Ernesta Wildenbrucha „Die Karolinger," utwór, który ujrzał już światło kinkietów w Monachium. Tragedya ta osnutą jest na tle walki Karolingów przeciw Ludwikowi Pobożnemu, najwybitniejszą jednak postacią w utworze jest Bernard z Barcelony, który sieje niezgodę pomiędzy braćmi, ojca zmusza do złamania danej przysięgi, królowę skłania do splamienia wierności małżeńskiej. Motywem, po-

*) Czytelnikom *Prawdy* jest ona znaną z osobnego sprawozdania. *Red.*

budzającym go do tych czynów, jest nie miłość do królowej, którą się zasłonił, ale bezgraniczna ambicya. A jednak zdołał autor obudzić sympatyę dla tej postaci, wyposażając ją siłą woli, która wznosi ją na wyżynę bohaterstwa. Utwór Wildenbrucha zdradza bezsprzecznie wpływ Shakespeare'a, zwłaszcza w scenach, gdzie występują służący, i w postaci szesnastoletniego Karola; jednak Bernard barceloński a nie mniej demoniczny Maur Abdallah skreślonymi są oryginalnie.

Dziwnym płodem krzyżujących się kierunków literackich jest nowa sztuka berlińskiego „Residenztheater." „Veritas," dramat Feliksa Philippi, stanowi kompromis pomiędzy komedyą Dumasa a dramatem Ibsena. Okoliczność ta, łącznie z drugą, że autor zręcznie wplótł w dyalog kwestyę żywo obecnie dyskutowane, sprawiła, iż „Veritas" nie przepadła za przykładem wszystkich nowości ostatnich. Słynny malarz Edward, forytowany przez arystokracyę, uszlachcony za dzieła swe, kandydat na dyrektora akademii, traci stanowisko, poślubiwszy swój model, piękną kobietę, która figurowała na wszystkich wielkich jego płótnach. Z kobietą tą żył przez czas pewien „na wiarę" — stosunek ten znano i tolerowano; lecz kiedy po przebyciu dłuższej choroby, podczas której wierna Karolina go pielęgnowała, uległ „kaprysowi sentymentalnemu" i uprawnił swój związek, towarzystwo go wyklucza. Akt pierwszy wprowadza nas do salonu, w którym omawiają właśnie krok malarza; akt ten przypomina zupełnie komedye francuskie, nie tyle świetnością, ile manierą dyalogu. Upokorzenia, których Edward doznaje, sprawiają, iż poczyna żałować kroku swego; a kiedy brat podsuwa mu oszczerstwo, że żona jego nie dochowuje mu wierności i że miewa schadzki na przedmieściu z pewnym lekarzem, najlepszym jego przyjacielem, Edward wypędza z domu swego przyjaciela, nie wysłuchawszy tłumaczeń jego, a żonę strasznym głosem zapytuje o wyjaśnienie. Karolina daje mu je: tam na przedmieściu mieszkała w nędzy chora dziewczyna, którą Edward niegdyś uwiódł, a której ona wynagrodzić chciała krzywdę popełnioną przez męża. Zawstydzony błaga o przebaczenie; ale Karolina przemienia się na Norę, i opuszczając dom małżonka, zapewnić chce tryumf Prawdzie. Na staludze stoi ostatni obraz Edwarda, „Veritas," wyobrażający Prawdę tryumfującą nad Kłamstwem—ostatni obraz, do którego pozowała mu Karolina. Obraz ten przecina małżonka opuszczająca Edwarda.

— Ależ Karolino!— woła za nią Edward w rozpaczy — cóż powiedzieć mam światu?

Ona, wskazując na obraz pocięty, odpowiada:

— Prawdę!

*Ladawa.*

## Z ZACHODU.

*Monachium, d. 23 marca.*

Manfred na scenie. — Duchowość i kuglarstwo. — Astarte. — *Pani z morza*.— Ibsen — wyznawcą wolnej woli. — Słówko o Brandesie. — Wieża Babel i potop u nas. — Statystyka twórczości w Anglii.

Widziałem *Manfreda* w teatrze... Dziwne wrażenie! Jedno z tych, których się nie zapomina nigdy. Wybacz, czytelniku, że je na tych szpaltach zapisuję, ale czyż nieszczęsne miano byronisty, (choć równie uzasadnione jak— hajocisty lub or-ocisty...) nie daje do tego prawa? Rozumiał snać wielki Schuman, jaką bezdeń poezyi i muzyki niewygranej na oranżach kryje ten poemat i taki młodzieńczy, naiwny jeszcze i taki prometejski, gdy oddał mu do usług swą lutnię rzewną i śpiewną. Co prawda, nie od dziś scena waży się na wystawienie tego mysteryum wulkanicznej duszy, kąpiącego się we mgle i fantazyi. Ale jak jej daleko jeszcze do doskonałości! Jak mało deski teatralne, nawykłe do *pas* baletnic i żywych obrazów opery, pojmują, co to jest utwór nawskróś duchem przeniknięty, duchem prawdziwym, niepochwytnym, chyba że w dźwięku melodyj. Jak one brutalnie obchodzą się z alegoryami bóstw i potęg, które każdy człek nosi w swem wnętrzu, a których człek z sercem rozdartem lub myślą na poły rozszarpaną ma w sobie cały panteon! Muzyka umie być lotną i powiewną jak eter; pióro umie być uduchowionem i lekkiem w dotknięciu, jak skrzydło urojonego przez ludzi anioła; pędzel potrafi czasem zamiast malować — tchnąć farby i postacie na płótno— tylko scena trwa dotąd w niesmaku grubego materyalizmu. Wszystko na niej tak strasznie namacalne, symetryczne! Nawet widma zachowują krój żurnalów, nawet wieszczki czeszą się według najświeższej mody.

Wyobraź sobie Manfreda, złamanego i wciąż nękanego wspomnieniem niebiańskiej Astarty, jak mocą czarodzieja wzywa podwładne sobie duchy, by mu dały zapomnienie... Dokoła — świat inny niż ten, po którym chodzimy. Szczyty Alp, śniegiem pokryte, głazy śpiczaste, stoki strome, przepaście; zabłąkany promyk słońca pieści jeszcze na pożegnanie wierzchołek samotnej jodły; mgła przedwieczorna podnosi się z kotlin i skał, a na tem tle... Ach, profani! Na tem tle wyrasta wróżka sztywna i nieruchoma, jak manekin w szacie błękitnej; wprost niej, na prawo, druga, wyprostowana, jakby do musztry—otulona gazą szkarłatną; potem trzecia, czwarta, piąta — wszystkie jakby nadziane na kijo, w opończach jaskrawych, z efektem obliczonym na gust płaski i pierwotny. Mumie miałyby już więcej podobieństwa do żywiołów, niż te śpiewaczki i aktorki, mozolnie wyuczone i nagięte do roli istot niedotykalnych...

Tylko Astarte sama przedziwnie odtworzona. Takie głowy szlachetne i twarze blade, smętne, takie oczy wpatrzone, mimo ziemską swą piękność, takie rysy wyraźne, nawet wytworne i — eleganckie, ale ascetyczne, umie tworzyć tylko Gabryel Max. Śród czerwono-płomiennych stalaktytów i opok, sklepiających państwo Arimana — biały cień nieszczęsnej kochanki nieszczęsnego marzyciela wyglądał uroczo i tragicznie zarazem. Lepiej go chyba nikt nie wcielił. Tu dopiero powiało piękno w dobrym stylu.

Zazdrość mię brała jedna, a to na widok sali natłoczonej od góry do dołu ludem najróżniejszych warstw i stopni wykształcenia. Ceny miejsc są w monachijskich teatrach zmienne, stosownie do nakładu, jakiego wystawienie sztuki wymaga. I *Manfred* jest tu dyablo drogi, a pomimo to, warto było widzieć zapał i namaszczenie widzów i— słuchaczów! Prawda, że i muzyka sama zawiera istne perły; mało ją u nas znają, a szkoda. W słynnem przekleństwie, zaczynającem się od słów:

> Gdy księżyc nocną pokryje się falą
> A świetlny robak pośród traw zabłyśnie...

muzyka, zamiast wtórować gromowym akordem, skupia całą grozę i tragizm w śpiewie cichym, głębokim, przejmującym, mówiącym daleko więcej, niżby powiedział Wagner brzękiem kotłów, trąb i bębnów.

Ach! prawda, nie wytłomaczyłem się z zazdrości. Otóż żywo stanęły mi przed oczyma ziejące pustką krzesła pierwszej sceny polskiej na *Hamlecie* lub *Otellu*. Czyż można się było wstrzymać od porównań i—melancholii?

I znowu myśl moja, a z nią i twoja, wybiedz musi na Północ, do Norwegii — choć nie na długo. Dużym jest dramatem najnowszy utwór Ibsena p. t. *Pani z morza*, ale jest dramatem okrutnie słabym, więc nie miałbym przecie sumienia długo cię wodzić po jego krętych ścieżkach i romantycznych wybrykach. Jakto! Ibsen, taki realista, nieubłagany prawdomówca, niemal jeden z rozpaczonych, miałby odgrzewać dawne sposobiki i efekty? A tak, tak! Stało się to bardzo prosto. Postawił sobie *tezę* społeczną— co znaczy prawie tyle, że chcąc rozwinąć skrzydła do lotu, przywiązał ołowiane kule do nóg, albo jeśli wolisz, że przerobił traktat na dzieło poezyi. Jaką jest wartość podobnych metamorfoz, wiedzą przecie francuzi, którzy już nie z rozpraw psychologicznych lub prawnych, ale z doskonałych powieści fabrykują przy całym swym kunszcie — sztuki mierne niekiedy, a liche najczęściej.

O cóż tedy szło autorowi *Dzikiej kaczki*, *Rosmersholda* i tylu cennych rzeczy? Pragnął wykazać, że kobiecie należy się bezwzględna swoboda, zwłaszcza gdy chodzi o wybór tego przyrządu do kochania i żywienia, który się zowie mężem. Dajcie jej tylko tę wolność, a zobaczycie, że potrafi oprzeć się pokusom i iść za głosem najlepszym ze wszystkich, jakie w jej duszy grają. Tak się też stało i z młodą Ellidą Wangel, zaślubioną staremu już nieco lekarzowi. Ach, ona właściwie jeszcze większego dokazała cudu, bo jest mężatką, bo jej pan i towarzysz życia zgadza się, ażeby poszła za potężnym magnesem tęsknoty i miłości dla fantastycznego kochanka z lat dawniejszych, i chce ją z pęt uwolnić, a ona jednak w chwili stanowczej zwalcza pragnienie i — o dziwo! — wraca w objęcia męża. I gdybyż przynajmniej ów pociąg do człowieka, który niegdyś tajemnie się z nią zaręczył, a teraz przyszedł upomnieć się o nią, aż pod sam próg domowego ogniska — był zwyczajnym. Gdzie tam! To jakaś chorobliwa mania, której przedmiotem nie tyle zagadkowy, mgłą romantyczną osłonięty kochanek, ile żywioł natury, przez niego najsilniej przemawiający: morze. Ellida wzrosła na falach i rwie się do nich całem swem jestestwem. To roślina wodna, więc na lądzie usycha i więdnie. Pod bokiem męża i między skalistymi fiordami duszno jej i sieroco. Siła, równa nostalgii, prze ją na ocean, na burze i odmęty, których dzikiej swobody i grozy, dawny kochanek, żeglarz, stanowi jeno uosobienie. Jest to siła tak wielka i poetyczna, że samo wzmianki o niej, wychodzące z ust bohaterki, napełniają cały dramat posępnym jakimś liryzmem, smętkiem północnych wód, i czynią zeń poemat, którego tytuł winienby według wszelkich praw logiki brzmieć: *Magnetyzm morza*.

Dr. Wangel robi ofiarę z swego przywiązania i serce sobie tą rozłąką zakrwawia, byleby młodej kobiecie wrócić szczęście, a przedewszystkiem zdrowie; bo widział on, że jeśli ten stan tęsknoty dłużej potrwa, utonie ona w czarnej melancholii. I oto w chwili, gdy się przed Ellidą otwiera świat upragniony, dzwon okrętowy wzywa do drogi, a rywal jej męża czeka, pełen tajemniczego powabu i obietnic — ona jednym skokiem uczucia — inaczej tego nazwać nie można — przerzuca się na łono rodziny. Wierz temu, jeśli możesz — ja zachowam uśmieszek sceptyczny...

Ibsen, niepoprawny fatalista, stał się nagle wyznawcą wolnej woli. Urządził widowisko, w którem setka żądz, popędów, uczuć, myśli, wraz z całym ustrojem nerwowym, w oka mgnieniu, pod wpływem odzyskanej swobody, pierzcha przed pojęciem obowiązku. I w dodatku u kogo? U kobiety, która zrodzona śród żywiołu, instynktami tylko żyje. Czy nie cudowne?

Nie próżnują i drudzy z dwu najlepszych dziś umysłów w Skandynawii — Jerzy Brandes. Ogłosił on niedawno w oddzielnych broszurach wspomnienia z pobytu swego pośród nas. Jakżebym chciał mieć już pod ręką ciekawe te notatki, o których nawet *Gesellschaft* mówić raczy jako o naj-

ważniejszym wypadku w bieżącym sezonie literackim Danii. A czasopismo to nie lubi bynajmniej odgrywać względem żydów roli samarytanina na puszczy. Brandes olśniewa mnie... Oślepił on i nas szerokiemi uogólnieniami. A jak łechtał próżność narodową! Krytyko bezstronna głów trzeźwych — nie pamiętaj mu tego! Sypały się na głowy zamienionych w słuch słuchaczów — kwiaty stylu i delikatnych pochlebstw; złoto szczere lało się z ust mówcy, a w sali ratuszowej aż biało było od orłów, łabędzi i gołębi i tym podobnego ptactwa, użytego na epitety ozdobne dla naszych wieszczów.

Jeżeli w tym duchu prawił autor *Głównych prądów* rodakom swym o nas — będą mieli zdanie szczytne, z czego nam cieszyć się wypada. Ale czy — dokładne? Odpowiedź łatwa: o tyle, o ile dokładnemi mogą być wnioski o literaturze, gdy one oparte są na kilku jedynie, acz najtęższych filarach odrodzenia, a gdy ona, tj. literatura, przebyła jeden za drugiem dwa renesanse, bo nietylko w poezyi, lecz i w prozie, noweli...

No, ale dziś już ten drugi renesans należy prawie do mitów. Zaczęliśmy wjeżdżać na Parnas na kilku dzielnych pegazach — ale nam tchu zabrakło. Więc dalej budować wieżę Babel, byleby się dostać do krainy nektaru i ambrozyi. Ale — ukarano nas sromotnie. Nie Jehowa się pogniewał, nie szatan psocił, ale coś, co ani z jednym, ani z drugim nic wspólnego nie ma... Hołotka duchów marnych zlała na literaturę potop powieści i nowel, w którym stopniowo zaniknąć musi wszelka wytwórczość i wybredność smaku.

Jednak — śpiewam za Schubertem — nie ronię łez... Wzrok padł na Zachód daleki, na Albion mglisty i błogi uśmiech pociechy zastąpił Jeremiaszowe biadania. Ależ tam nie lepiej wcale, niż u nas — a jeśli kto nie wierzy, niechaj zajrzy do „Okólnika wydawniczego“ za rok ubiegły, a klaśnie w dłonie z radości na widok cudnych cyfr statystycznych. Otóż wyszło ogółem dzieł 6,501, gdy w r. 1887 — 5,686. Z owej liczby najwięcej przypada na — słynne trzytomowe romanse długich pań i panien; na poezyę zaś nie więcej, jak około 300. Gdy jednak ochłoniesz z wybuchu zadowolenia — nastąpi reakcya i obsiądą cię zmory w postaci duszę tłoczących uczuć i rozmyślań. Czy może kwitnąć prawdziwie piękna literatura tam, gdzie wieczyście panuje taka powódź? Czy nie ogarnia cię dziwne jakieś zniechęcenie i nuda, czy nie uczuwasz dławienia i duszności na myśl, że Europa rodzi co rok może dziesiątki tysięcy nowel dużych i małych i że ojciec każdej z nich dzieckiem swem się pyszni, dumny jest z niego i przekonany, że jest ładniejsze od całej reszty innych? Ile złudzeń i zmarnowanego zapału i pracy! Jakże umysł nasz upadł już nizko, skoro nad poczciwe, sumienne szewctwo lub krawiectwo przeniósł powieściopisarstwo! Oceanie bibuły, kiedyż się znajdzie na falach twoich nowy Kolumb, któryby odkrył nową ziemię — nową formę twórczości, mniej zabójczą i burzącą wszystkich, niewiedzących, co z wykolejonem swem życiem począć?..

*Cezary Jellenta.*

---

## FEJLETON.

# LIBERUM VETO.

Szturm do mnie. — Nagłe przedzierzgnięcie się *Kraju*. — Dwa przypuszczenia. — Niesumienność lub śmieszność. — Bajka o stadzie baranów i baranie wywiadowcy. — Wielostronny drogowskaz. — Mikroskopowy Deak. — Szarady. — Nabuchodonozor. — Jubileusz Blizińskiego. — Doświadczenia p. Ochorowicza. — Ograniczenia doświadczeń hypnotycznych. — Koncert Mierzwińskiego. — Odzyskany klejnot. — Teoretyczne pytanie.

„Zwracam uwagę pańską na odcinek *Kraju* w n-rze 8.“

„Czy też pan czytałeś „bajkę“ i wstęp do niej w n-rze 8 *Kraju?*“

„Czemu pan milczysz o wybuchu złości w n-rze 8 *Kraju?*“

Te i tym podobne pytania listowne prześladowały mnie od dwu tygodni. Po każdem z nich wzdychałem: Za co ja cierpię na tej ziemi? *Kraju* stale nie czytuję, zaoszczędzony czas przeznaczyłem sobie na poznanie pewnego dzieła naukowego, do którego już dawno tęskniłem i właśnie gdy się niem rozkoszuję, ze wszech stron słyszę krzyki i szepty: przeczytaj nr. 8 *Kraju*. Naturalnie ciągną mnie ludzie do jakiegoś głupstwa; ale trudno: kiedyś grzyb — właź w kosz, kiedy cię losy skazały na ciężkie roboty dziennikarza, skacz w falę bieżącą i płyń z nią, chociażbyś tem miał tylko dyabłu zrobić nieco uciechy.

Więc przeczytałem ów nr. 8 *Kraju* i wyznać muszę, że doznałem istotnego zdziwienia. Dotychczas każdy jego rocznik był podobnym do talii kart, którą bez hazardu, wprawnie i szczęśliwie grano o prenumeratę; karty owe, jak zwykle, bywały czarne i czerwone a ich figury tak odbite, że dla stron przeciwległych leżały do góry głowami. Czy je wziął do ręki czarny konserwatysta, czy czerwony postępowiec, każdy odnalazł w nich swoje barwy i każdemu przedstawiały się one w położeniu prostem. Ta wielobarwność i wielolicowość nietylko wyłączały stałość i wyrazistość zasad, ale nadto energię języka. Kto wszystkim chce się podobać, musi ze swej mowy zetrzeć kanty, wypruć nerwy, nastrzyknąć żyły sokiem malinowym. Nagle, chociaż w społeczeństwie nic nie zaszło, co by usprawiedliwiało przedzierzgnięcie się Janusa w Marsa, *Kraj* pali krajowi taki morał: „Zapanowała u nas epoka tandety... w sferze umysłowej i uczuciowej. Czy ją wywołał popyt *zleniwiałych* mózgów i *zwyrodniałych* serc na rzeczy płytkie... czy też naodwrót *znikczemniała*, groszowa produkcya zdeprawowała gusty i nawyknienia, dość, że roi się u nas dzisiaj od uczonych z łaski bożej, literatów od siedmiu boleści itd... Tandetą również jest tani patryotyzm. Wielką, wspaniałą niegdyś cnotę rozmieniliśmy na groszaki i dziś już *nikt* nie pamięta, jak wyglądały dukaty... Są, o są u nas i dzisiaj jeszcze wielcy patryoci! *Gęba* od ucha do ucha, język niepowściągliwy, *łeb* ciasny a pusty, ale *gardło*, o, gardło przedewszystkiem... W sprawach politycznych pozwalają rezonować byle *wypędkowi*, nie troszcząc się o to, czy przezeń złość osobista nie gada“ — itp. Na litość — co się takiego stało? *Kraj* wychodzi od lat ośmiu, nigdy ani podobnych zarzutów społeczeństwu nie stawiał, ani podobnego języka nie używał; musiał więc śród nas zajść w ostatnich czasach jakiś wypadek, musiał wystąpić jakiś objaw, który mu ukazał „zleniwiałe mózgi i zwyrodniałe serca,“ „znikczemniałą produkcyę,“ „groszowy patryotyzm,“ „ciasne a puste łby“ i szeroko rozwarte „gęby.“ Cóż się więc zdarzyło? Szukam myślą i znajduję tylko jeden fakt: niedawno kilka pism wykąpało p. Piltza, redaktora *Kraju*, w gorącej wodzie i wylało „das Kind mit dem Bade.“ Oto powód, który rozdarł zasłonę, okrywającą nasze grzechy, i ukazał całą otchłań naszej sromoty. Między rokiem 1889 a 1887 lub 6 nie widzimy pod względem umysłowym i moralnym żadnej różnicy, chyba tę tylko, że dawniej p. Piltz był pieszczochem, a teraz jest kopciuszkiem prasy warszawskiej. Możliwe tedy są dwa przypuszczenia: albo owe zleniwiałe mózgi, zwyrodniałe serca i ciasne łby istniały oddawna a *Kraj* o nich milczał, dopóki jego redaktora nie parzono, albo te liche mózgi, serca i łby uległy zwyrodnieniu wtedy dopiero, kiedy p. Piltz uległ naganom. Z pierwszej hypotezy otrzymujemy, jako wniosek, niesumienność, z drugiej — śmieszność. Wybór między niemi byłby może trudnym, gdyby go nie ułatwiła zamieszczona po owej przegrywce bajka p. t. „W lesie.“ Treść jej bardzo pouczająca. Zbłąkało się stado baranów: opuściły rogi i czekają, a tu burza się sroży. Wreszcie jeden z nich chce iść na wywiady. Barany w bek, że zuchwały, że nie ma mandatu, że ich zdradzi, odda wilkom. Daremnie odważny baran tłomaczy gromadzie, że na szukanie ścieżki nie trzeba pełnomocnictwa, wreszcie oświadcza zniecierpliwiony: „O wasze nie dbam nagany. Dlaczego? Boście barany.“ Zaledwie potrzebuję objaśniać czytelników, że owem stadem zbłąkanem i podejrzliwem jesteśmy my wszyscy, p. Piltz zaś owym baranem szukającym drogi. Gdyby coś podobnego powiedział swym ziomkom Deak lub Cavour, mieliby wszelkie prawo mu odrzec, że jest znacznie niższym od swej zuchwałości. Cóż dopiero p. Piltz! Bo jeżeli jest w prasie polskiej pismo niemogące służyć ogółowi za busolę, to przedewszystkiem *Kraj*, podobny do słupa oblepionego najrozmaitszymi afiszami lub do wieloramiennego drogowskazu na skrzyżowaniu się gościńców, zalecającego różne kierunki dla jednego celu; a jeżeli w tej prasie jest człowiek niezdolny do przewodnictwa, to p. Piltz, który swego sobowtóra nazwałby niewątpliwie „wypędkiem,“ gdyby go ujrzał po stronie swych przeciwników. Bo skoro beknął w lesie, jakież mu echo odpowiedziało? Pisma warszawskie, poznańskie, galicyjskie, ruskie — wszystkie go wyśmiały. Zgadzam się zupełnie z *Krajem*, że dla robienia dobrze i narażania swej skóry nie trzeba „mandatu,“ ale potrzeba zaufania i znajomości dążeń ogółu dla odezw w jego imieniu. Tymczasem *Kraj* jako nasz sztandar, p. Piltz jako nasz chorąży, wymagający od nas „karności,“ a my jako gromada baranów, opierających się jego rozumowi — za taki mimowolny humor można darować obrazę, chociażby ona rzucona została nie dla narażania, ale dla osłonięcia własnej skóry. Humor ten tylko się zmniejsza, ale nie niknie nawet wtedy, gdy za p. Piltzem stanie p. Spasowicz, wyższy rodzaj kameleona, ale kameleona.

Do pewnego miasta za granicą — opowiada anegdota — przybył generał-inspektor. Zwiedziwszy budynki i urządzenia wojskowe, zaszedł do klubu. Tu uwagę jego zwrócił długi rząd butelek na bufecie, które, zamiast zwykłych etykiet, poznaczone były literami alfabetu.

— Co to jest? — spytał generał towarzyszącego mu oficera.

— To są nasze szarady.

— Jakto?

— W butelkach są likiery. Otóż bierze się z nich po trosze i mieszaninę, tworzącą z liter jakiś wyraz, wlewa się do szklanki. Pijący powinien odgadnąć ów wyraz.

— I pan rozwiążesz taką szaradę?

— Może.

— No to odwróć się do ściany.

Generał napełnił szklankę kilkoma likierami a oficer wychylił ją, posmakował i rzekł:

— Emma.

— Tak — dziwna wprawa.

— To jeszcze nic — zauważył oficer — są między nami tacy, którzy dochodzą do *Nabuchodonozora*.

Taką szklanką z Nabuchodonozorem jest *Kraj*, a zdaje mu się, że zawiera napój jednorodny.

Niech żyje! niech żyje! — krzyczano przy toastach jubileuszowych Blizińskiemu w Krakowie. Zapewne podczas tych życzeń myślał on sobie: o gdybyście mili bracia poradzili, jak wyżyć? O tem jednak nie było mowy, chociaż Bóbrka, folwarczek komedyo-pisarza, przeszła literacką koleją w inne ręce, a jej dawny właściciel w 62 roku musi rozmyślać, jakieby nici przecią-

gać przez postaw życia, ażeby jego osnowa dalej się tkała. Na nieszczęście nie urodził się ani p. Ochorowiczem, który włada kichaniem i kaszlaniem publiczności na swych odczytach a wiedza jego stanowi sumę wiedzy wszystkich lekarzów *minus* ich zaślepienie i *plus* jego cudotwórczość, ani panną Szulcówną, która gdyby nawet w Paryżu wypowiedziała tabliczkę mnożenia, zaraz Warszawa odbiłaby głos jej mądrości zachwytnem echem; urodził się i był tylko utalentowanym komedyo-pisarzem, równym wobeć prawa... teatralnego ze wszystkimi robotnikami repertuaru, pobierającymi 50 rs. za akt sztuki wystawionej. I powiedzcież mi mędrcy tego świata, czem autor dramatyczny jest gorszy od każdego robotnika fabrycznego, którego płacą, losem, starością i niedołęztwem nareszcie zaopiekowano się? Przecie 150 rs. za utwór sceniczny — to nędza, w której nie jedna, ale trzy Bóbrki utonąć mogą, jeśli ich właściciel, zamiast pilnować gospodarstwa, zacznie marzyć o *Panu Damazym* lub *Przezornej mamie*.

Co innego hypnotyzm. Gdyby p. Ochorowiczowi kazano zejść z nieba na ziemię bez drabiny, on by sobie, magnetyzując po drodze ptaki w powietrzu, wił z dowodów ich wdzięczności złoty sznurek, któryby mu wystarczył aż do samego dołu. Według zapewnienia *Gazety lekarskiej* przeszłoroczny „trzosik“ był pełny, plony z niwy hypnotycznej obfite. Czy szanowny pogromca medycyny tego roku również będzie praktykował i z równie pomyślnym skutkiem— nie wiemy. Maleńką jednak przynętę podczas wykładu już publiczności rzucił. Zawiesiwszy bowiem na chwilę swoją opowieść, oświadczył, że podczas tej przerwy słuchacze będą kaszlać i nosy wycierać. Jakoż proroctwo spełniło się. Oddając należny hołd tej potędze wpływu hypnotycznego, chciałbym wiedzieć, co by się z nią stało, gdyby z sali wyprowadzić wszystkich przyjaciół i znajomych p. Ochorowicza i gdyby on podobne doświadczenie zrobił nie w marcu, lecz w lipcu, kiedy katary i kaszle są rzadsze. Nie roszcząc bowiem sobie pretensyi do hypnotyzowania z odległości, ważę się na podobne doświadczenie, mianowicie uprzedzam abonentów *Prawdy*, że przy czytaniu tych wyrazów wrażliwsi uczują zimno w nogach. Zdziwionych zaś tą moją „suggestyą“ objaśniam, że nie podejmuję się dokonać jej w lecie; natomiast zobowiązuję się wywołać w nich poty.

We Francyi i w Niemczech rozwija się dążność do ograniczenia doświadczeń hypnotycznych zastrzeżeniami w kodeksie i wykluczenia ich z widowisk publicznych. Swoboda pod tym względem ma być pozostawiona tylko badaczom dla celów naukowych, jak się to obecnie dzieje z wiwisekcyami. Byłoby to bardzo pożądanem, bo nadużycia się mnożą i albo już doprowadziły (we Francyi), albo doprowadzą do karygodnych wykroczeń. Zaznaczę ogólnikowo tylko jedną ich grupę: opanowywanie woli kobiet...

Nie straciliśmy tedy naszego skarbu narodowego — p. Mierzwiński zachował swoje wysokie *cis*. Gdy pierwszego koncertu zachrypnięty odśpiewać nie mógł, nawet jego wielbiciele przez kilka dni wierzyli zgnębieni, że z korony chwały naszej wypadł najcenniejszy klejnot. Ale na drugim p. M. podniósł upadających i swoje *cis* wyrzucił z dawną mocą. Że miał przepełnioną salę, że go witano i żegnano tym zapałem, którego nigdy nie zaznał żaden syn naszej ziemi, zapewniać nie potrzebuję. Patrząc na rozgorączkowane twarze i zgniecione żebra, myślałem sobie, gdyby... Tego pytania nie dokończę, ale postawię inne: gdyby ktoś w Warszawie ogłosił, że odkrył niewątpliwe świadectwo pierwszego pojawienia się człowieka na ziemi, gniazdo rodzinne lechitów, autora *Wedów*, pierwszą dynastyę egipską— słowem znalazł rozwiązanie jakieś wielkiej, dotąd nierozstrzygniętej zagadki wiedzy, czy też sala Ratusza „wypełniłaby się ciekawymi po brzegi?“ Wątpię, „króla tenorów“ wobec nas nie pokona żaden mocarz wiedzy lub sztuki.

„Tak działać musi na masy trybun ludowy“ — powiada p. Bogusławski.

Dobrze powiedziane!

*Poseł Prawdy.*

---

# O PRAWDĘ.

## II.

## CO SIĘ U NAS WYRABIA W KRYTYCE.

Jeżeli p. Dworzaczek ośmielił się z żakowską zuchwałością traktować takiego badacza, jak Morgan, który otworzył swem dziełem nową epokę w nauce, jeżeli nie znając ani przedmiotu, ani języka, wydał swój wyrok o rezultacie kilkudziesięcioletnich poszukiwań śród dzikich i o wartości przekładu jego książki, to naturalnie z mniejszym skrupułem pozwał przed siebie uczonego, który może przed kilku miesiącami jeszcze był jego profesorem w uniwersytecie, p. Okolskiego. O, bo p. Dworzaczek to krytyczna „Mädchen für Alles,“ dziś sądzi Orzeszkową— powieściopisarkę, jutro Morgana — etnologa, a pojutrze Okolskiego— prawnika. Temu ostatniemu robi zarzuty (w *Gazecie sądowej*), które graniczą z bezsensem i powinny wychowańcom „krytyka“ odjąć nadzieję doczekania się z niego pociechy. Nie podoba mu się np. w *Ustroju państw* nierównomierność przedstawienia, to, że prof. O. konstytucyi finlandzkiej poświęcił 2 stronice, angielskiej 105, belgijskiej 11 itd. Nauka — powiada p. D. uroczyście — podobnych *upodobań*, ani *fantazyj* mieć nie może. To znaczy, że ponieważ całe dzieło zawiera 596 stronic i mówi o 19 państwach, na każde więc przypaść powinno $31\frac{1}{3}$ stronicy. Ubliżylibyśmy czytelnikom naszym, gdybyśmy im pomagali ocenić wagę podobnej bredni. Każdy z nich potrafi sam — jak mówi przysłowie niemieckie — zawiesić ją nizko. Nie podoba się również panu D., że prof. O. obok konstytucyj europejskich przedstawił amerykańską. Co z takim zarzutem począć, zwłaszcza że nawet na naszym gruncie już takie osty wyrastać przestały? Co począć z uwagą krytyka, że „nauka bada rzeczywistość i prawa nią rządzące, ale w przepowiednie przeszłości się nie wdaje?“ Czy ten pan rzeczywiście nigdy nie słyszał o przepowiedniach astronomii, geologii,socyologii, fizyki, chemii, medycyny? Według niego dalej prof. O. wprowadza zamęt do umysłu czytelnika, nazywając raz ministeryum angielskie wszechwładnem, a drugi raz — zależnem od parlamentu. Wszechwładztwo przedstawia się tu widocznie krytykowi pod postacią mocy boskiej, zamiast ludzkiej, która w tym wypadku znaczy poprostu: że w Anglii ministeryum rządzi państwem, nie oglądając się na koronę, dopóki ma za sobą większość parlamentu.

Nie przedstawiliśmy tu bynajmniej wszystkich próbek wiedzy i logiki młodego Arystarcha, który w długiej skali swych wyroków pomieścił również sąd o *Logice* Liarda i który postanowił za wszelką cenę dogodzić zasadzie Terencyuszowskiej, że nic nie powinno mu być obcem, chociaż wszystko mu jest obcem. Zaznaczymy tylko jeszcze językowe skalpy tego wojownika. Wszędzie język mu się nie podoba, wszędzie znajduje on powód do westchnienia nad lekceważeniem czystości mowy rodzimej. A wiecie jakie kolce tkwią w sercu tego męczennika? Oto w przekładzie Morgana użyto następujących wyrazów i zwrotów: „nawarstwowanie,“ „istotowy,“ „postępowszy,“ „wielka ilość plemion... mówiąca tyluż językami,“ „widzieli pierwiastki federacyi, na ile ich wzrok zdolny był je przeniknąć“ — itp. Pomijając drobne uchybienia korektorskie, przytoczone przez autora „błędy“ przekonywają nas tylko, że on u nas mógłby z pożytkiem odbyć naukę pisania po polsku, przy której wytłomaczylibyśmy mu, że gdyby jakikolwiek naród trzymał się jego zasady, to dotąd mówiłby zasobem językowym swych dzikich przodków. To, że jakiś wyraz jest nowy, nie dowodzi, że on jest zły. Z postępem wiedzy musi iść równolegle postęp mowy. „Istotowy“ np. ściślej oddaje ang. *essential*, niem. *wesentlich*, niż „istotny,“ który oznacza również: rzeczywisty. Niech więc p. Dworzaczek zachowa swój szkolarski haczyk, którym wygrzebuje „błędy,“ dla elementarzów lub... *Biblioteki warszawskiej*, ale niech go nie używa do dzieł naukowych, których nie rozumie. Jeżeli zaś chce koniecznie nim grzebać, niech przynajmniej czyni to sumiennie, gdyż na str. 491 dzieła Okolskiego nie powiedziano: „zreorganizować państwo na *ląd*,“ lecz na „*ład* europejski.“

Przed dwudziestu laty, zanim wszechnica miejscowa wykształciła zastęp ludzi naukowych, wyskakiwali na arenę krytyki ludzie do p. Dworzaczka podobni — mało umiejący a zuchwali, niemający do stracenia żadnej powagi, a więc ryzykowni i skaczący do oczu olbrzymom, którym ledwie do pięt sięgnąć mogą. Ale w ostatnich latach rycerze ci zeszli z pola. Że znowu się ukazali i to wprowadzeni przez b. profesorów Szkoły Głównej—jest to objaw bardzo smutny.

*H. A.*

---

# KRONIKA BIEŻĄCA.

**Szkoły.** Otwieranie przy szkołach technicznych klas przygotowawczych, z kursem odpowiadającym drugiej klasie dwuklasowych szkół miejskich, może być pozwolone na mocy postanowienia ministra komunikacyi, który przeznacza na utrzymanie szkoły odpowiednie sumy z funduszu szkolnego. Do nauki w klasie przygotowawczej dopuszczani są, oprócz dzieci urzędników i oficyalistów kolejowych, tylko te z pośród ich krewnych, które pozostają pod ich opieką. (*Prawit. Wiest.*).

— Według źródeł urzędowych, wydatki ministeryum oświaty na utrzymanie gimnazyów, szkół realnych i wogóle średnich zakładów naukowych, na rok bieżący wynoszą 9,648,411 rs.

— Z rozporządzenia ministeryum oświaty ustanowiono opłatę dla zdających przy uniwersytetach egzaminy: na stopnie podaptekarzy po 5 rs. i na prowizorów po 10 rs. od osoby. Dochody z tego źródła zaliczane będą na pokrywanie wydatków, ponoszonych przez uniwersytety na kupno przyrządów i preparatów, niezbędnych przy tych egzaminach.

— Jedna z przełożonych pensyj prywatnych w Warszawie stara się o pozwolenie na otwarcie klas dodatkowych. W program ich wejdzie wykład nauk społecznych w szerszym zakresie.

— *Swiet* donosi, iż jeden z przełożonych średnich zakładów naukowych wniósł do wyższej władzy projekt przeniesienia wiosennych egzaminów przejściowych na jesień przed otwarciem kursów, tj. po ukończeniu wakacyj letnich.

**Katastrofy.** D. 31 z. m. belgijski parowiec pocztowy „Hrabia Flandryi“ uderzył na przybywający z Dover parowiec pocztowy belgijski „Księżna Henryeta“ i zatonął. Na pokładzie jego znajdował się książę Napoleon, który jednak ocalał.

**Marki.** Ministeryum skarbu przedstawiło Radzie państwa projekt o potrzebie wprowadzenia obowiązkowego kasowania marek stemplowych za pomocą mechanicznego jej zepsucia. W tym celu wynaleziono dwie maszynki, z których jedna, nie niszcząc papieru, wybija kółko.

**Przywóz kartofli** z Niemiec do Rosyi przez granicę lądową został tymczasowo wzbroniony. Zakaz ten

dotyczy także łupin, liści i odpadków kartoflanych, wszelkich opakowań, skrzyń, worków itd., które służyły do przewozu kartofli.

**Wystawa** paryska. Skutkiem tego, iż koleje niemieckie odmówiły stanowczo wszelkich ułatwień komunikacyi na wystawę paryską, powstał projekt urządzenia tej komunikacyi między Warszawą a Paryżem przez Wiedeń i Monachium. Na naradach w Wiedniu interesowane zarządy kolejowe postanowiły wydawać bilety na przejazd do Paryża za zniżeniem ceny o 35% przez czas trwania wystawy.

**Kasy.** Normalna ustawa kas zaliczkowo-wkładowych dla pracujących we wszystkich zakładach fabrycznych i przemysłowych została już ułożoną. Według tych przepisów, wszystkie fabryki i zakłady przemysłowe, których skład dochodzi do 50 osób, będą obowiązane wprowadzić kasy przezorności. Nadzór nad wykonaniem przepisów oraz kontrola kas będzie poruczona inspektorom fabrycznym. Fabryki i zakłady już posiadające takie kasy, mają przedstawić ustawy, a te, o ile się nie zgadzają z normalną obowiązującą, będą zmienione.

**Sprawy kolejowe.** Wydział handlowy kolejowy, istniejący przy ministeryum komunikacyi, w tych dniach zniesiono, a na jego miejsce utworzono nowy departament przy ministeryum skarbu. Rozstrzygane tam będą wszelkie sprawy, zachodzące pomiędzy kolejami prywatnemi gwarantowanemi a rządem, oraz sprawy taryfowe, których unormowaniem i ujednostajnieniem dla wszystkich kolei zajmie się wydział. Zadaniem jego będzie przerwanie współzawodnictwa kolejowego. P. Wyszniegradzki polecił, aby na pierwszej sesyi zjazdu ogólnego przedstawicieli dróg żelaznych, kwestya taryfowa gruntownie była zbadana z uwagi, iż z powodu konkurencyi między kolejami, niektóre towary i produkty dostarczane są z południowej Rosyi do Petersburga przez Prusy i morze Baltyckie. Od chwili obecnej wszelkie taryfy będą zatwierdzane przez ministeryum skarbu, a względnie przez nowoutworzony departament.

**Zjazd** górniczy. W ministeryum dóbr państwa podniesiono projekt urządzenia ogólnego zjazdu górników i przemysłowców górniczych z całego państwa w celu omówienia wielu spraw, obchodzących właścicieli kopalń oraz zakładów przemysłowych, mających łączność z górnictwem. Zjazd ten odbędzie się w Petersburgu w jesieni r. b. Wobec tego projektowany zjazd górników w Królestwie Polskiem nie przyjdzie do skutku.

**Z Poznania** donoszą, iż tamtejsza izba handlowa wystąpiła z wnioskiem do naczelnego dyrektora poczty poznańskiej o założenie telefonu między Poznaniem a Berlinem.

**Władza edukacyjna** wydała nowe rozporządzenie, aby wszelkie napisy na szyldach szkół rządowych umieszczone były wyłącznie w języku ruskim.

**Muzyka.** Tegoroczny koncert Noskowskiego nie przedstawił nowej pracy kompozytora, który przed dwoma laty tak zabłysnął „Świtezianką."

**Literatura ludowa** otrzymała kilka nowych książek: M. Bałucki, *Grześ niepiśmienny* (z ilustracyami), Warszawa, str. 48.

J. K. Gregorowicz, *O urwisie Dyrdusiu* (z ilustracyami), Warszawa, str. 38.

F. M., *Stara baśń*, z powieści Kraszewskiego (z ilustracyami), Warszawa, str. 62.

H. B. Tarczyński, *Świnia domowa*, oraz soliter, wągier i trychiny. Warszawa, str. 36.

**Bibliografia.** J. Myriel, *W walce z losem*, powieść w trzech tomach, Warszawa, nakład *Wieku*.

— W. Wicherkiewicz, *Geografia popularna*, zeszyty 28—40, Warszawa, Olawski.

— A. G. Bem, *Jak mówić po polsku*, zeszyt 2, Gebethner.

— J. Nusbaum i H. Silberstein, *Siły przyrody* (według dzieła A. Guillemaina), zeszyt 1, Warszawa, Olawski.

**Dwie rocznice.** D. 11 marca upłynęło lat 300 od śmierci znakomitego historyka i polityka Marcina Kromera, a 30 marca — 200 od ścięcia Kazimierza Łyszczyńskiego za bezbożność. O tym ostatnim znajdzie czytelnik szczegóły w *Dawnej Polsce* Krzyżanowskiego.

**Zmarli.** Jan Jurković, jeden z wybitniejszych pisarzy horwackich, wiceprezes Maticy Hrvatskiej. Ur. w r. 1827 w Sławonii, kształcił się na wszechnicy zagrzebskiej. Od r. 1874 był inspektorem szkół elementarnych i średnich w Chorwacyi. Prócz dwóch tomów nowel wydał kilka komedyj. Będąc zaś członkiem rzeczywistym Akademii nauk w Zagrzebiu, pisywał wiele rozpraw z dziedziny etyki. Jako wyborny znawca mowy ojczystej, Jurković dla młodego pokolenia literatów chorwackich służy za wzór piękności i czystości języka.

— Dr. Alfred Biesiadecki, we Lwowie. Ur. 1838 r. w Dukli, skończył wydział lekarski w Wiedniu ze stopniem doktora medycyny i chirurgii, oraz magistra położnictwa. Odznaczył się wybitnie na polu piśmiennictwa zawodowego. W r. 1865 mianowany został asystentem przy klinice anatomii patologicznej; w r. 1868 objął katedrę tego przedmiotu na wszechnicy jagielońskiej. W r. 1876 opuścił to stanowisko, gdyż został powołany na protomedyka Galicyi. Z tego stanowiska kierował sprawami sanitarnemi kraju, był wielce czynnym w biurze namiestnictwa. W r. 1879 uczestniczył w zagranicznej komisyi lekarskiej, wyprawionej do Rosyi dla zbadania tam dżumy. Drukował sporo prac specyalnych w pismach polskich i niemieckich.

— Wawrzyniec Żmurko, we Lwowie, matematyk. Ur. w r. 1824 w Jaworowie w Galicyi. Wydział matematyczny skończył na uniwersytecie wiedeńskim. Był najpierw profesorem matematyki wyższej w c. k. Politechnice, następnie w Akademii technicznej lwowskiej, którą później przekształcono na Politechnikę. W r. 1870 został członkiem Towarzystwa nauk ścisłych w Paryżu. Oprócz tego należał do wielu towarzystw naukowych. Ważniejsze jego dzieła: „Wykład matematyki na podstawie ilości o dowolnych kierunkach w przestrzeni," „Teorya największości i najmniejszości funkcyj wielu zmiennych," „Przyczynek do rachunku przemienności." Prócz tego wydał kilka dzieł poważnych w języku niemieckim.

— Dr. Roman Ignatowski, w Warszawie. Pierwszy się zajął urządzeniem i rozszerzeniem zakładów ciechocińskich. Był stałym współpracownikiem pism specyalnych. Przełożył dzieło Wundta o chorobach skórnych.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

*Al. B.* Ile wiadomo, tyle objaśni Pana zeszyt 4 *Wisły* z roku przeszłego, oraz ten, który świeżo się ukazał.

*Amatorowi.* W formie niezachowane najelementarniejsze zasady wierszowania, a zwłaszcza rytm.

*Pessym.* Skądże my o takich szczegółach wiedzieć możemy? Niech Pan się zwróci do któregoś ze studentów szkoły tkackiej w Chemnitz.

*L. W.* 1) Dwa pierwsze zeszyty kosztują kop. 50 dla abonentów; 2) jeżeli ksiądz odstręcza od czytania książek, to najlepiej go ominąć — jest to środek najskuteczniejszy.

*A. B. C.* W wierszach Pańskich ciągle niema żadnej stałej miary.

*N. N.* Myśl dobra, ale nierozwinięta należycie i nie ubarwiona poetycznie.

**Uwaga.** Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.